

W NUMERZE:

- ZWIĄZEK - JAKI?
Dyskusje w trzech gminach
- JAK PODAĆ RĘKĘ?
Niepełnosprawni są wśród nas
- MIEJSCE DLA
MARCINKOWSKICH
- NOWE UPRAWNIENIA
MIESZKANIOWE

Gdy pięć miesięcy temu po raz pierwszy pisaliśmy o radomskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej, uczelnia przypominała oko cyklonu. Wydarzenia, które rozgrywały się tu od początku roku akademickiego, osiągnęły apogeum napięcia, a WSI znalazła się w centrum zainteresowania całego kraju. Konflikt, który z powodzeniem mógł być rozwiązany wewnątrz uczelni, urosł do rangi ogólnopolskiej, stał się zarzewiem nie mniej gwałtownych wydarzeń w innych uczelniach. Prasowe publikacje o tej uczelni zajmowały czołowe lamy, a pytanie — jak to się skończy? — bulwersowało opinię publiczną.

Po raz kolejny wybraliśmy się do Radomia w marcu. Interesowało nas, jak uczelnia funkcjonuje dziś, czy można mówić o normalizacji jej życia, czy udało się (choć w części) wzniesione ubiegłej jesieni barykady wzajemnych oskarżeń przebudować w bodaj kruchy most porozumienia.



Fot. Archiwum

WYCHODZENIE NA PROSTĄ

NIEPEWNOŚĆ

WOJCIECH SIERAKOWSKI

To zaskakujące, ale o strajku, o burzy, jaka przetoczyła się przez mury tej uczelni kilka miesięcy temu, dziś mówi się rzadko i niechętnie. Tak, jakby tych dramatycznych przeżyć nie było. Jakby wszyscy nagle zapragnęli odłożyć na półki niedoczytaną do końca książkę.

Student I: — To takie dziwne? A czy pan chętnie wraca do tego, na czym się pan sparzył? Zresztą, o czym tu rozmawiać? I z kim?

Student II: — Daj spokój, Andrzej. Widać pan, kolega chce powiedzieć, że to, czy my będziemy rozmawiać, czy nie i tak niczego teraz nie zmieni. Była sprawa i nie ma sprawy. To znaczy sprawa jest, ale już nie od nas zależy. Przepraszam, ale spóźniły się na zajęcia.

Dziesięć minut później spotkałem ich znowu. Bez przesadnego pośpiechu wychodzili z bufetu. Ten drugi z zażenowaniem uśmiechnął się, machnął wymownie ręką. Jakby tym gestem chciał powiedzieć: — Co się pytasz, człowieku, sam chyba wiesz, jak jest.

Otóż to, wcale nie wiem, jak jest. A chciałbym to wiedzieć, po to przecież powtórnie przyjechałem do radomskiej WSI.

O tej scenie opowiedziałem znajomemu asystentowi. Nawet się nie zdziwił.

— Wie pan — powiedział — my wszyscy przeżyliśmy ogromny szok. Wpierw tamta gwałtowna jesień, z nagle rozbudzonym poczuciem swobody, świadomością wagi i znaczenia zdania każdego studenta i pracownika, potem pamiętny 13 grudnia to musiało pozostawić ślady. Ja sam nawet przestałem się już zastanawiać, ile czasu musi upłynąć, aby przywrócić normalne więzi międzyludzkie na naszej uczelni. Tak dużo nam się nagle tych nici porurywało.

Mój rozmówca niechętnie poddaje się rozmowie. Jego zdaniem, w ogóle nie ma

sensu dziś, w czwartym miesiącu stanu wojennego, pytać o normalizację życia uczelni. W Wyższej Szkole Inżynierskiej jeszcze chyba na to za wcześnie. Mimo że pozornie wszystko toczy się normalnie.

ODRABIANIE ZALEGŁOŚCI

— Semestr absolutnie nie jest stracony. To pewne. Boję się tylko jednego, że w tej dyscyplinie, w warunkach ostrego przeciw regulaminu studiów, możemy stanąć przed smutnym faktem obniżenia efektów nauczania. Już dziś na przykład są pierwsze sygnały o trudnościach z przyswojeniem materiału przez studentów. Po prostu nie są w stanie w tym skróconym semestrze wchłonąć skondensowanego materiału. Kłopoty z matematyką są wyraźne. To samo obserwujemy w zakresie programów fizyki — mówi doc. Aleksander Sala, prorektor do spraw dydaktyki i wychowania radomskiej WSI.

— Stan wojenny zdaje się przestraszył wszystkich — kontynuuje docent — ale niezależnie od pewnych negatywnych zjawisk wniósł on ze sobą tę pozytywną wartość, że ograniczenia i jego twarde prawa zmusiły do większego wysiłku, lepszej pracy. Ciekawa rzecz, ale w dość krótkim czasie udało nam się uporządkować elementarne sprawy, z którymi przedtem nie dawaliśmy sobie rady. Na przykład sprawy czystości w domach akademickich czy też poprawy zaopatrzenia bufetów. Do stycznia nasi studenci nie mieli praktycznie gdzie napić się herbaty, nie mówiąc już o jakimś posiłku w przerwie między zajęciami. Dzisiaj kłopotów z tym nie mamy.



ZWIĄZEK - JAKI?

W OPARCIU O DOŚWIADCZENIA

WIKTOR PIOTROWSKI

W czasie powszechnej dyskusji nad przyszłością związków zawodowych w Polsce wydaje się słuszne i konieczne przypomnienie tych struktur i form działalności związkowej, które — jak wykazało doświadczenie minionych dwu lat — sprawdziły się w praktyce, zyskując aprobatę znacznej części byłych członków organizacji i przyciągając do niej nowych.

Przykładem takiej działalności związkowej może być ZNP, który po sierpniu 1980 roku przeszedł głębokie przeobrażenia, nie tracąc jednak nic ze swych wartościowych i postępowych tradycji, ukształtowanych w okresie 75-letniej historii organizacji, ani też nie zmieniając swego ideowego oblicza.

Te właśnie długoletnie postępowe tradycje sprawiły, że ze „związkowego i politycznego trzęsienia ziemi”, które nastąpiło w sierpniu 1980 roku, ZNP wyszedł stosunkowo „obronną ręką”, zachowując większość swoich członków.

Ale najbardziej chlubna historia nie stanowiłaby dostatecznego magnesu dla szeregu rzesz członkowskich, gdyby w okresie odradzania się ruchu związkowego w całym kraju, również ZNP nie przeprowa-

dził u siebie głębokich przeobrażeń strukturalnych i nie dokonał zmian odpowiadających zgłaszanym od dawna dzyderatom środowiska pracowników oświaty i nauki.

Zgodnie z oczekiwaniami członków przywrócono dawną, wypracowaną w toku długich lat praktyki, strukturę związkową bardziej adekwatną do potrzeb wynikających z charakteru pracy w oświacie i nauce, przeprowadzono w październiku 1980 roku wybory nowych władz związkowych, a wreszcie dokonano podziału Związku na dwie samodzielne organizacje — ZNP-Oświata i ZNP-Nauka — ściśle ze sobą związane i pracujące na zasadach federacji.

Ta ostatnia decyzja wynikała z doświadczeń minionych lat, wskazujących, iż scentralizowane kierownictwo ZNP, siłą faktu zdominowane przez liczebnie znacznie większą grupę pracowników oświaty, ze zrozumiałych względów ukierunkowane było przede wszystkim na rozwiązywanie problemów tej grupy członków i nie było



RYSZARD BURA

przewodniczący Miejsko-Gminnego Komitetu Odrodzenia Narodowego i gminny dyrektor szkół w Śmiglu woj. leszczyńskiego

Przed grudniem ubiegłego roku znaczna większość pracowników oświaty z naszego terenu należała do „Solidarności”. Znalazłem się wśród nich, przekonany, iż jako pierwszemu sekretarzowi podstawowej organizacji partyjnej przy Zbiorczej Szkole Gminnej (dyrektorem zostałem tam później) przypada mi obowiązek współtworzenia prawidłowego, zgodnego z oczekiwaniami nauczycielskiego środowiska kształtu nowego związku. Fascynacja tym ruchem także zrobiła swoje.

Nie mogłem się jednak pogodzić z poglądami przywódców „Solidarności” i wystąpiłem z tego związku. Podobnie uczyniło kilku innych nauczycieli w Śmiglu. Później przyszło pamiętne obliczone na konfrontację posiedzenie KK NSZZ „Solidarność” w Gdańsku i — w następstwie — ogłoszenie stanu wojennego w kraju. Wydało się wtedy wielu ludziom, także jednemu z nas, że szansa narodowego porozumienia została przekreślona. Musimy, pomyślałem, od nowa uczyć się chodzić.

A przecież życie idzie naprzód i niesie ciągle nowe szanse i rozwiązania. Dla naszego miasta i gminy, jak dla wielu innych w Polsce, dostrzegłem taką szansę w utworzeniu Komitetu Odrodzenia Narodowego i dlatego przyjąłem tam funkcję przewodniczącego. Moja obecna działalność partyjna w POP, w egzekutywie KM-G w Śmiglu oraz Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej przy KW PZPR w Lesznie sprzyja, jak sądzę, przenoszeniu treści programowych, zgodnych z ideą porozumienia wszystkich Polaków do praktyki działań naszego Miejsko-Gminnego Komitetu Odrodzenia Narodowego.

W 27-osobowym składzie tego spontanicznie zawiązanego społecznego organu znalazło się poza mną jeszcze dwoje nauczycieli: Lukrecja Bednarek, która została członkinią Prezydium oraz Jerzy Wojtkowiak, wybrany przewodniczącym komisji oświaty. Zbieramy się zasadniczo raz w miesiącu, a są to narady robocze, pozbawione sloganów, obliczone na wytyczanie zadań i rozliczanie wykonawców.

Trzy z tych zadań — obok ogólnego, jakim pozostaje integracja ogółu mieszkańców w myśl zasad porozumienia narodowego — wydają mi się obecnie, tej wiosny najważniejsze.

Pierwsze — to sprawne przeprowadzenie prac polowych (a wiadomo chyba wszystkim, że rolnicy Leszczyńskiego żywią wiele województw). Brakuje i u nas wszystkiego: materiału siewnego, nawozów, części do maszyn. Zabiegamy o to, by pomniejszyć skutki tych braków, bo chodzi przecież o chleb. I nauczyciele w komitecie nie mogą ograniczać swego pola widzenia do spraw oświaty.

Drugie zadanie — to połączenie wysiłków ludzi zrzeszonych w Komitecie Odrodzenia Narodowego ze staraniami działaczy różnych organizacji społecznych — jak PKPS, PCK, a także na przykład komisja socjalna przy Zbiorczej Szkole Gminnej — by złagodzić, głównie przez polepszenie pracy sklepów, uciążliwości zaopatrzeniowe, dotyczące zwłaszcza teraz na przednówku rodziny słabiej uposażone, osoby niepełnosprawne i dzieci. Mamy paczkę z darów zagranicznych, trzeba jednak liczyć przede wszystkim na siebie, na usprawnienia w dostawach towarów z krajowego przemysłu.

I trzecie zadanie — nie zaniedbywać myśli o inwestycjach najpotrzebniejszych oświaty. Chodzi tu o przyszły ośrodek zdrowia, a także o nową szkołę. Operujemy na posiedzeniach naszego komitetu konkretnymi, mimo znanych wszystkim trudności budowy te muszą ruszyć w bieżącym roku, by nie zdezaktualizowała się zgromadzona już kosztowna dokumentacja. Władze naszego miasta i gminy uzyskały od wojewody leszczyńskiego zapewnienia „miejsca w planie”. Czyn społeczny wydaje się tu najlepszym wsparciem i wyjściem. W tym więc kierunku teraz działają zainteresowane komisje naszego Miejsko-Gminnego Komitetu Odrodzenia Narodowego, które przejęły i wzbogaciły dotychczasowe funkcje FJN.

Wierzę, że efekty tej społecznej pracy najlepiej połączą ludzi o różnych dotychczas postawach i światopoglądach, a porozumienie, tworzone od dołu okaże się w całym kraju trwałe.

Bez najmniejszej przesady można powiedzieć, że na dziś nie ma zadania ważniejszego niż sprawne, terminowe przeprowadzenie wiosennych prac polowych, wykorzystanie każdego skrawka ziemi pod uprawę. Od tego przecież zależy, co i ile trafi na nasze stoły. Nie będzie to sprawą łatwą, zważywszy, iż jeszcze w tym roku rolnictwo nie odczuje, niestety, w sposób wyraźny priorytetu, jaki nadano tej dziedzinie gospodarki. Wprawdzie znacznie lepsze będzie zaopatrzenie w sprzęt lekki i narzędzia rolnicze, nastąpi też nieznaczna poprawa w dostawach opon, akumulatorów, filtrów olejowych, ale w wielu dziedzinach dostawy dla rolnictwa będą nawet mniejsze niż w ubiegłym roku. Dotyczy to głównie nawozów mineralnych, środków ochrony roślin, a także ciągników i innych maszyn.

Tym bardziej więc ważne jest, aby jak najracjonalnie gospodarować tym, co znajduje się w dyspozycji. Ze zaś tak jeszcze nie jest, świadczyć mogą wyniki niedawnej akcji milicyjnej „Bizon”. Obecnie tym śladem poszło wojsko. Wojskowe grupy operacyjne, z udziałem oficerów służb technicznych i kwatermistrzowskich oraz cywilnych ekspertów z resortu rolnictwa i nauk rolniczych przeprowadziły akcję kontrolną pod kryptonimem „Wiosna 82”. Jej program był bardzo szeroki, kontrolą objęto 1700 gmin w całym kraju, a konkretnie gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, spółdzielnie kółek rolniczych, PGR, RSP i wybrane gospodarstwa indywidualne. Celem tej akcji: przeciwko marnotrawstwu i niegospodarności było skontrolowanie stanu przygotowań rolnictwa i służb rolnych do wiosennych prac polowych. Ale wojsko nie tylko kontroluje. Przychodzi także rolnictwu uspołecznionemu i indywidualnemu z konkretną i różnorodną pomocą: naprawia sprzęt rolniczy, przekazuje wycofany z eksploatacji wojskowej, a w pełni jeszcze sprawny, sprzęt — przyczepy transportowe, ciągniki, samochody dostawcze, ciężarówki, nawet elektryczne polowe.

To na dziś, gdy kłódra wciąż jeszcze za krótka, gdy trzeba doraźnych i szybkich decyzji, bo ziemia nie zaczeka. Byłoby jednak naiwnością sądzić, iż dzięki tej akcji mamy sprawę z głową. Jak każda akcja, może ona przynieść jedynie doraźne rezultaty, łagodząc niedostatki, sprawić, by jak najobficiej zaocwowało to, co możemy ziemi zaoferować już teraz.

A perspektywy na jutro? D'a każdego, kto choć trochę interesuje się tematem, widoczna jest konsekwencja, z jaką krok po kroku wciela się wytyczoną po sierpniu 1980 roku politykę rolną. Ze wspomnę tu tylko o reorientacji produkcji przemysłowej na potrzeby rolnictwa. Kolejny konkretny dowód z ostatnich dni, stanowią między innymi ustawy o ochronie ziemi i trwałości gospodarki indywidualnej, uchwalone przez Sejm na marcowej sesji. Ich

Wynik niedzielnych (21 marca 1982) wyborów do parlamentu krajowego Dolnej Saksonii nie może nie budzić poważnych pytań dotyczących politycznego trendu w Republice Federalnej Niemiec. Nie sposób jest też inaczej określić rezultaty wyborów niż jako klęskę socjaldemokratów. Nie można również postawić tezy, że sukces chadeckiej był przypadkowy.

Przeciwnie, rezultaty wyborów dolnosaksońskich są nader klarowne. Potwierdziły poprzedni sukces chadeków w tym landzie w 1978 roku, co więcej — chadecja zdobyła dodatkowo około 2 proc. głosów. Jest to więc sukces premiera rządu krajowego, Ernsta Albrechta. Obecnie chadecy, mając 50,7 proc. — 87 mandatów — mogą utworzyć samodzielnie rząd krajowy. Natomiast sam Ernst Albrecht zaczyna wysuwać się na czoło chadeckich kandydatów, ubiegających się o nominację tej partii przed wyborami federalnymi.

Socjaldemokracja straciła aż 5,7 proc. głosów, uzyskując tylko 36,5 proc. i 63 mandaty, SPD pozostanie nadal na ławach opozycji. Poniosła porażkę głównie w srodkach robotniczych i wśród młodzieży. Głosowali oni na partię „zielonych”, koncentrujących swą uwagę na problemach ochrony środowiska i odprężenia militarnego.

Natomiast liberalna FDP, współrządzająca niegdyś z CDU — a w poprzednich wyborach wyeliminowana z Landtagu, gdyż nie posiadała wymaganych 5 proc. głosów — powróciła obecnie z 10 mandatami do Landtagu, lecz jednak na ławy opozycji.

Można więc podsumować wybory dolnosaksońskie: zwycięzcy zostali wszyscy, ale nie socjaldemokraci. Jeśli zaś ten nurt utrzyma się, to dalszemu osłabieniu ulegnie pozycja rządu federalnego w Bonn. Może też zostać przyspieszony termin wyborów do Bundestagu, które mają się odbyć w 1984 roku.

Porażka socjaldemokratów w Dolnej Saksonii wskazuje, że niedawna ich przegrana w wyborach komunalnych w Sleszwiku-Holsztynie nie była przypadkiem. Coraz bardziej natomiast zacinają dominować opinie, że przyczyn niepowodzeń SPD w Dolnej Saksonii należy upatrywać w znacznie szerszym tle niż sprawy Landu. SPD po 12 latach rządów przechodził zaczyna ostry kryzys, istnieją w niej rozbieżności w wielu problemach, zarówno w polityce zagranicznej jak i wewnętrznej. Mówi się wreszcie, zacytujmy tutaj wypowiedź przewodniczącego CDU, Helmuta Kohla, że przegraną w wyborach dolnosaksońskich jest nie Karl Ravens, lecz Helmut Schmidt.

KRAJ

GWARANCJE

doniosłości dla perspektyw rolnictwa nie sposób przecenić. Kładą one kres marnotrawieniu ziemi i rozwiązują najbardziej nabołały problem, jakim były brak poczucia pewności chłopskiego stanu posiadania i narosłe nieprawidłowości w obrocie ziemią. Są dowodem, że oto realizuje się postulaty rolników oraz umowy społeczne zawarte z ich przedstawicielami.

Tej wiosny rolnik polski wychodzi więc w pole słabo jeszcze uzbrojony w sprzęt i inne niezbędne akcesoria, ale z poczuciem pewności, bo z ustawową gwarancją, że ziemia, na której włodarzy, jest jego i jego następców niepodważalną własnością. Sądzić można, iż to przekonanie zaowocuje zdwojoną troską o dobre zagospodarowanie każdego skrawka ziemi, która przecież musi nas wszystkich wyżywić.

Marcowe posiedzenie Sejmu zapisał się w historii naszego parlamentu nie tylko z racji zapadłych tam decyzji w sprawach rolniczych. Na tej samej sesji sfinalizowano także — jak wiemy — inne niezwykle doniosłej wagi kwestie ustrojowe związane z umacnianiem praworządności i rozwojem demokracji. Zapadła mianowicie decyzja o powołaniu Trybunału Konstytucyjnego i Trybunału Stanu, co znalazło swój wyraz w poprawkach do Konstytucji. Problem praworządności i problem odpowiedzialności ludzi sprawujących władzę w kraju znajduje się nie od dziś w centrum zainteresowania całego społeczeństwa. Toteż od początku z uwagą wszyscy śledziliśmy tok prac nad tworzeniem instytucjonalnych gwarancji, że już nigdy nie dojdzie do tak głębokiego kryzysu, kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego, który obecnie przeżywamy.

I tak oto od teraz już nie Rada Państwa, jak dotychczas, lecz Trybunał Konstytucyjny — wybrany przez Sejm spośród osób wyróżniających się wiedzą prawniczą, trybunał, którego członkowie są niezawisli i podlegają jedynie Konstytucji — orzekać będzie o zgodności z Konstytucją ustaw i innych aktów normatywnych naczelnych oraz centralnych organów państwowych.

Od tej też pory w rezultacie powołania Trybunału Stanu ludzie piastujący najwyższe stanowiska państwowe ponosić będą odpowiedzialność nie tylko polityczną, co jak wykazało doświadczenie, jest niewystarczające, lecz także konstytucyjną, a zatem prawną. „Powołując

Trybunał Stanu — stwierdził w imieniu Klubu ZSL, poseł Z. Surowiec — dokonujemy niejako obrachunku z przeszłością, tym bardziej że wyposażamy go także w możliwość oceny czynów dokonanych w przeszłości, a polegających na zawinieniu naruszeniu Konstytucji lub innych ustaw”.

Nie pomniejszając znaczenia obrachunkowego aspektu powołania Trybunału Stanu, jego szczególnej doniosłości dopatruję się w aspekcie profilaktycznym, w gwarancji instytucjonalnej, perspektywie, jaką stwarza. Ten moment był zresztą dobitnie akcentowany w poselskich wypowiedziach. Ukazanie bowiem winnych kryzysu — choć zgodne z poczuciem sprawiedliwości i wolą społeczeństwa — nie zmieni przecież faktu, że to my wszyscy musimy pić to piwo.

Rzecz w tym, by już nigdy nie mogło dojść do takich dramatycznych sytuacji. Trybunał Stanu ma stanowić taką konstytucyjną gwarancję, a dla ludzi piastujących najwyższe stanowiska — memento.

Zdając ku demokracji życia społeczno-politycznego, Sejm podjął także uchwałę w sprawie utworzenia przy parlamencie Rady Społeczno-Gospodarczej. W jej skład (nie więcej niż 120 członków) wchodzić będą przedstawiciele załóg przedsiębiorstw, PGR, spółdzielni produkcyjnych i zrzeszeń rolników indywidualnych, organizacji spółdzielczych, rzemieślniczych, zawodowych i społecznych, a także stowarzyszeń twórczych i naukowych.

Rada ma być — zgodnie z uchwałą — organem opiniodawczym i doradczym Sejmu oraz tego organów. Jak stwierdził wybrany przez Sejm na przewodniczącego rady, poseł Jan Szczepański — który swego czasu przewodniczył Komitetowi Ekspertów opracowującemu raport o stanie oświaty — jej zadaniem będzie formułowanie opinii społecznej na temat ustaw i uchwał Sejmu, opinii nie ekspertów, lecz ludzi, którzy na własnym grzbiecie będą odczuwali skutki tych aktów prawnych. Ma to być zatem forma rozszerzonego bezpośredniego kontaktu władzy ustawodawczej i wykonawczej z pracownikami wszystkich klas i warstw społecznych. A więc platforma swego rodzaju konsultacji społecznej.

Witamy tę inicjatywę Sejmu z nadzieją, ale też i — co tu ukrywać — z pewną rezerwą, ostrożnością, podyktowaną gorzkimi doświadczeniami z przeszłości, kiedy to pod pozorem konsultacji tak bujnie pełnił się woluntaryzm władzy. Uchwała Sejmu stwarza tylko organizacyjne ramy formułowania opinii społecznej. Czy szansa ta zostanie wykorzystana, czy ramy te są wystarczające, czy opinia ta będzie reprezentatywna i czy będzie się liczyć — pokaże życie. „Trzeba będzie — powiedział w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej poseł Jan Szczepański — zapisać kartę nową i zapisać ją w sposób sensowny”. Oby tak się stało.

DANUTA CHRZCZONOWICZ

ŚWIAT

CZYŻBY

TRWAŁY ZWROT

NAD RENEM?

Porażka socjaldemokratów jest tym bardziej zmienna, że w tym roku mają odbyć się wybory do kolejnych parlamentów krajowych w Bawarii, Hesji i Hamburgu. W przypadku dalszych niepowodzeń obecna koalicja może przestać być siłą rządzącą w RFN, a być zdolna jedynie do administrowania sprawami państwa. Chadeccy, mając bowiem przewagę w Bundesracie, mogą skutecznie paraliżować działania rządu w Bundestagu, kontrując kolejne jego decyzje.

Tak więc nieco wcześniejszą zapowiedź kanclerza federalnego, Helmuta Schmidta, że chce kandydować w 1984 roku, należy traktować jako osobiste zaangażowanie się w kampanię wyborów do Landtagów. Niedzielną porażką brzmi więc jako sygnał alarmowy dla całej socjaldemokracji, a także dla rządzącej koalicji w Bonn.

Nie sposób jednak pominąć w tym komentarzu refleksji historycznych i szerszych uwarunkowań międzynarodowych. Dolna Saksonia była niegdyś twierdzą socjaldemokracji. Tutaj w 1946 roku Kurt Schumacher doprowadził do restauracji weimarskiej SPD, a Heinrich Kopf był przez lata premierem rządu krajowego. Chadeccy zdobyli władzę w Hannoverze dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

Socjaldemokraci stali się partią współrządzającą w RFN jeszcze w latach sześćdziesiątych, najpierw jako partner CDU/CSU w „wielkiej koalicji”, a później w 1969 roku utworzyli rząd wspólnie z liberałami z FDP. Trzeba dodać, że wówczas

stopniowo dochodziło do erozji wpływów chrześcijańskiej demokracji, partii związanej głównie z nazwiskiem Adenauera. Jego dwaj następcy — Ludwig Erhardt i Kurt Georg Kiesinger nie byli w stanie temu zapobiec. Poza tym chadecja utożsamiała się w opinii społeczeństwa RFN — i nie tylko — z zimną wojną. Nie była też ona w stanie włączyć się do polityki odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód.

Przypominam o tym nieprzypadkowo i nie dlatego, by zwrócić uwagę na amerykańskie opracowanie sprzed kilkunastu lat, znane jako raport Sorensena, a mówiące o potrzebie zwrotu w stosunkach Wschód-Zachód. Historia powtarza się dość często, zwłaszcza w szerokim wymiarze możemy dostrzec podobieństwa wydarzeń, czynników sprawczych i możliwe konsekwencje.

Nie od dziś też mówi się o prawicowym zwrocie na Zachodzie, o wzroście wpływów zimnowojennych polityków w państwach NATO. Kryzys w stosunkach międzynarodowych, który ma miejsce obecnie, stworzył dogodną okazję do podważania zasad „polityki wschodniej małej koalicji” w Bonn. Chadecja wystąpiła z zarzutem, że polityka ta jest bezużyteczna, a rządząca koalicja prowadzi „wyprzedaż niemieckich interesów”.

Kanclerz Helmut Schmidt manewruje jak może, musi godzić swą politykę zachodnią z polityką wschodnią. Zacieśnia współpracę ze swymi sojusznikami w NATO, pozostawiając sobie pewne możliwości manewru. Jego chadeccy przeciwnicy, już przed rokiem rozpoczęli ofensywę, gdy tylko Ronald Reagan objął urząd prezydenta USA. Deklarują oni większą lojalność wobec nowego mieszkańca Białego Domu, który zdaje się spoglądać bardziej przychylnym okiem na pryncyplach do władzy chadeków.

Czy więc dojdzie do zmiany ekipy w RFN? Czy jeszcze w tym roku odbędą się przedterminowe wybory? Nie można tego wykluczyć, ale od razu trzeba dodać, że odpowiedź padnie w trakcie kolejnych wyborów krajowych, zwłaszcza w Hamburgu (czerwiec) i Hesji (wrzesień), a więc w landach rządzonych przez SPD. Wyniki tych wyborów zależeć będą zarówno od wewnętrznej polityki Helmuta Schmidta, jak też od uwarunkowań międzynarodowych. Nie bez wpływu będzie więc zwartość koalicji, zwłaszcza postawa FDP, tak usilnie namawianej obecnie do sprzymierzenia się z chadecją.

LECH KAŃTOCH

MIEJSCE

DLA MARCINKOWSKICH

Ostatnio telewizja prezentuje nam serial, który zasługuje na szczególną uwagę i wart jest szerszego zainteresowania nim młodzieży. Chodzi o film „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”, serial traktujący o stosunkowo mało znanym szeregowemu obywatelowi fragmente naszych dziejów, o ludziach, którzy walkę o polskość rozumieli przede wszystkim, choć nie wyłącznie, jako walkę o wzrost potencjału ekonomicznego kraju, jako walkę o przebudowę sposobu myślenia narodu.

Oglądając ten film, trudno oprzeć się pewnemu uczuciu zażenowania; oto prezentowana nam jest plejada ludzi, których dorobek jest niewątpliwy, którzy wywarli zdecydowane piętno na rozwoju Wielkopolski i na mentalności jej mieszkańców, a którzy praktycznie biorąc są nam prawie nieznani. W najlepszym bowiem przypadku możemy powiedzieć, że ich nazwiska nie są nam całkowicie obce, ale ich sylwetki, ich dzieło jawi nam się już całkiem mgliście lub wcale.

Dlaczego? Niewątpliwie dlatego, że zyciorysy ich mieszczą się w tej warstwie naszych dziejów, która w szkole traktowana jest po macoszemu, która uważana jest za drugorzędą, dzielącą się niejako na marginesie historii przez duże H.

Niemalą winę ponoszą tu nasze programy nauczania, zasadnicza jednak przyczyna tkwi w metodach kształcenia od lat królujących w naszych szkołach. Bo choć historia gospodarcza przewidywana jest w programach, to przecież sposób, w jaki prezentujemy ją młodzieży, stanowi dostateczny powód, aby uczniowie traktowali ją niechętnie, aby nie pozostawiała w ich sposobie myślenia żadnych śladów.

Nasza szkolna historia jest „historią szwoleżerów”. To prawda, że dzieje oręża polskiego, dzieje walk narodowowyzwoleńczych, dzieje dynastii, sejmów i szlacheckich rokoszów są nieporównanie barwniejsze i chwytliwsze, zwłaszcza dla młodzieży. Roi się w nich od świetnych postaci, wspaniałych uroczystości, zwycięskich lub przegranych bitew. Ta historia szumi husarskimi szczytami, czaruje bohaterstwem ludzi. I tak być powinno, bo to przemawia, bo to czyni ją tym kilku i kilkunastolatkom bliską i drogą. Ale czy to ma jednocześnie znaczyć, że historię ludzkiej pracy, ludzkiego wysiłku i rzetelnej troski o dobro tego kraju musimy czynić szarą i nieinteresującą? Historię bezimienną?

Co nasi uczniowie wiedzą o takich ludziach, jak na przykład Mitzler de Kolof — twórca osiemnastowiecznego czasopisma „Nowe Wiadomości Ekonomiczne i Uczeń”, propagator zasad gospodarki rolnej opartej na naukowych podstawach? Co wiedzą o Unruhu, Jakubowiczu, Jezierskim — pionierach przemysłu w Polsce, co wiedzą o Tyzenhauzie i Girardzie, o mieszczanach wielkopolskich z XVIII w. — Dangu, Wiliamku i Rafałowiczu? Co wiedzą o Janie Bochenku — założycielu huty cynku, o Antonim Schweigercie — producencie maszyn parowych; o późniejszym już w czasie Chałubińskim, o Mianowskim i Steficyku, o całej plejadzie znakomych Wielkopolan: Marcinkowskim, Liebelcie, o Jackowskim — twórcy kółek rolniczych wykupujących ziemię z rąk niemieckich, o Cegielskim, Raczyskim — o dziesiątkach ludzi prężnych, pełnych inicjatywy, którzy mozolną pracą budowali dzień dzisiejszy i przyszłość tego kraju, i to często w sytuacjach, kiedy na arenie politycznej przyszłość ta rysowała się w najciemniejszych barwach.

Odpersonifikowanie i szarzyzna szkolnej historii gospodarczej kraju to nie jedyny błąd popełniony w stosunku do tej warstwy naszych dziejów. Popełniliśmy, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, ale i później również, błąd drugi — wiążąc ją ściśle z historią walk społecznych i klasowych, „obciążając” ją grzechami wyzysku chłopów, wyzysku najpierw rzemieślników, a potem robotników. Nie ulega wątpliwości, że dzieje

rozwoju gospodarczego są ściśle sprzężone z dziejami walk o wyzwolenie społeczne, z ponurymi dziejami ucisku mas ludowych. Nieostrzeganie jednak tych powiązań w perspektywie historii, dokonywanie ocen nie uwzględniających elementów czasu, widzenie problemu wyrwanego z tła epoki zaowocowało niechętnym, wręcz wrogim stosunkiem młodego pokolenia do ludzi skądinąd tworzących podwaliny naszego potencjału gospodarczego. Owocowało stereotypami: fabrykant — a więc wróg klasowy, ziemianin — a więc obszarń k.

Jakże często mówimy dziś o potrzebie ukształtowania właściwego stosunku do pracy, o potrzebie szacunku dla ludzkiego trudu, dla dobrej roboty. Ile papieru, ile słów używamy, aby pojęciu rzetelnej pracy nadać wysoką rangę, aby przekonać społeczeństwo (i samych siebie), że cwaniactwo, lawirantwo, pozorowanie działania należą do pojęć zdewaluowanych.

Tylko że szacunku dla pracy nie buduje się hasłami. To musi być zakodowane w mentalności społecznej, utrwalone w świadomości zarówno codziennym działaniem, jak i odwołaniami do przeszłości.

Niemalą wpływ na to ma historia; tylko ona dostarczyć może punktów odniesienia do przeszłości, tylko ona dostarczyć może porównań wzorców osobowych, wzorców działania. Trzeba ją jednak uczłowieczyć, przydać jej blasku.

Nie tak dawno w wywiadzie dla „Głosu” prof. Suchodolski zwrócił uwagę na specyficzną cechę polskiego pozytywizmu, na brak wyraźnych przeciwieństw między naszym romantyzmem a pozytywizmem. „(...) pozytywizm polski — powiedział prof. Suchodolski — jest znacznie bardziej romantyczny niż na przykład pozytywizm francuski czy niemiecki (...) Z okresu romantyzmu pochodzi cała koncepcja ludu i kultury ludowej. Z okresu romantyzmu pochodzi koncepcja działalności gospodarczej (...) Przypomnijmy także postać Karola Liebelta i jego koncepcję działalności ludzi-obywateli”.

Otóż to; romantyzm pracy, romantyzm gospodarczego działania i myślenia. W tym interesującym spostrzeżeniu prof. Suchodolskiego zdaje się tkwić klucz do metody przekazywania młodzieży wiedzy o tej pozornie bezbarwnej i mało przemawiającej do wyobraźni dziedzinie naszych dziejów.

Tego klucza dostarcza także prezentowany w TV serial. Ileż romantyzmu, ileż patriotyzmu, ileż społecznikowskiej pasji jest w tych ludziach, którzy upartym działaniem, niestrudzoną pracowitością przeciwstawiali się zalewowi germanizacji; ileż mądrości jest w dążeniu, aby wpływ pruskiego zaborcy nie wlewać i niszczyć, posługując się jego własną bronią: dobrą organizacją, nowoczesnymi metodami gospodarowania, pomysłowością, podnoszeniem na wyższy poziom kultury umysłowej i kultury życia polskiego społeczeństwa.

Rzadko się zdarza, aby telewizja dostarczała nam pozycji będących tak bardzo na czasie, tak bardzo korespondujących z aktualnymi potrzebami narodu. Wydaje się, że nie wolno nam tej okazji przeoczyć; że przekaz tego filmu powinien stanowić temat do niejednej dyskusji z młodzieżą, dyskusji znacznie bardziej owocnej niż drętwe pogadanki o potrzebie dobrej roboty. Także i dla nas, wychowawców, może stanowić inspirację do krytycznego spojrzenia na sposób, w jaki prezentujemy młodzieży dzieje ojczyzny; na wzory osobowe, które chcemy utrwalić w pamięci młodego pokolenia.

Jedno wydaje się niewątpliwe, że istnieje wyraźna i pilna potrzeba, aby w historycznym panteonie bohaterów narodowych, obok Sobieskich i Żółkiewskich, obok Kozielskich i Wysokich znalazło się wreszcie właściwe miejsce dla Marcinkowskich i Cegielskich, dla Czackich i Liebeltów.



DWA MUNDURY

Przed 38 laty Kazimierz Dradrach wstępował ochotniczo w szeregi Wojska Polskiego. Młody chłopak powiedział komisji wojskowej po prostu: „Chcę na front”. Spełniono to pragnienie z pewną modyfikacją: ochotnik znalazł się najpierw we frontowej szkole oficerów piechoty, zaś po jej ukończeniu — z nominacją na dowódcę plutonu ciężkich karabinów maszynowych — zameldował się w pułku, który w kwietniu 1945 roku, w składzie 2 Armii WP, sposobił się do forsowania Nysy Łużyckiej.

O świcie, 16 kwietnia, runęła na przeciwnielego brzeg wąskiej, lecz głębokiej i rwącej rzeki lawina ognia artylerii, moździerzy i cekaemów. Pluton świeżo upejczanego dowódcy, w składzie 5 dywizji piechoty, poszedł w bój jako jeden z pierwszych. Historycy wojskowi dokładnie analizują dziś bardzo ciężkie walki, które 2 Armia WP wypadła toczyć na Łużycach z hitlerowskim ugrupowaniem, usiłującym przebić się na odsiecz okrażonemu wówczas Berlinowi. Analizy badaczy dziejów wojskowości w najistotniejszych punktach są zgodne: żołnierze polscy wykazali wtedy niezwykłą waleczność i waleń przyczynili się do likwidacji przeciwdzierzenia doborowych grup pancernych SS i Wehrmachtu, uniemożliwiając ich manewr na kierunku berlińskim.

Dlatego właśnie oficerski mundur Kazimierza Dradracha zdobią od tej pory dwa bojowe medale: „Za Odrę, Nyse, Bałtyk” oraz „Za udział w walkach o Berlin”. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski doszedł do nich po latach, podkreślając dziś zasługi z dawnych walk frontowych i późniejszej pracy.

Te trzy odznaczenia — wraz z licznymi innymi podobnymi dowodami zasług — nieodmiennie przyciągają wzrok dzieciaków ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Rychtalu, gdy Kazimierz Dradrach pojawia się w którejś z klas w pełnej mundurkowej gali. Zdarza się to zwykle kilka razy w roku, między innymi na inaugurację Miesiąca Pamięci Narodowej i Dzień Zwycięstwa. Na co dzień właściciela owego oficerskiego munduru cała społeczność rychtalska — i dzieci, i dorośli — widuje zazwyczaj jako swego „pana doktora” i działacza Polskiego Czerwonego Krzyża, w białym lekarskim kitlu (jak na zdjęciu). — To mój drugi mundur, też narzucający nie lada dyscyplinę — powtarza im pan Kazimierz.

Przez wiele lat rychtalski lekarz (po wojnie ukończył, już w cywilu, studia medyczne, uzyskując dwie specjalizacje: interny i radiologii), towarzyszy aktywnie, kierując miejscowym rejonowym ośrodkiem zdrowia i opiekując się higieną szkolną (także w roli prezesa Zarządu Gminnego PCK), wszystkim „zdrowotnym” poczynają

KWIECIEŃ — MIESIĄCEM PAMIĘCI

niom tutejszych pedagogów. Sojusznikami są dwukrotnie: gdy idzie o zdrowie samych nauczycieli i kiedy wspólnie zabiegają, żeby oszczędzić chorób małym podopiecznym.

Ze wspólnej inicjatywy — lekarza i nauczycieli — powstał w Rychtalu spójny system badań profilaktycznych, uważany za wzorcowy w całym województwie kaliskim, a wsparty dyżurami opiekunek-siostr PCK, kierowanych do domów, gdzie ludzie starsi (także nauczyciele-renciści), lub dzieci w wieku szkolnym wymagają opiekuńczej dłoni. Dodać warto, że kursy dla opiekunek prowadziła tu żona Kazimierza Dradracha, Janina, również zasłużona działaczka czerwono krzyżka.

Dyscyplina, o której rychtalski lekarz wspomina często, jako normalnej dla swego zawodu i która wyraża się także w gotowości służenia pacjentom o każdej porze doby (nieraz telefon i dzwonek w mieszkaniu „pana doktora” odzywają się w środku najciemniejszej nocy, wzywając do chorego) została tu — za iscie wojskowym chyba przykładem — zaszczepiona ogółowi personelu medycznego. Ośrodek Zdrowia w Rychtalu cieszy się najlepszą opinią w okolicy. PCK w szkole pozostaje pod tym dobrym wpływem. Kołem czerwono krzyżskim opiekuje się tu nauczycielka, Irena Sobczyńska. Zadania w zakresie higieny szkolnej, które rozdzielono między zawodową kadrę (lekarza i pielęgniarki) oraz aktyw PCK, mogły zostać tutaj znacznie rozszerzone, w porównaniu z niejedną placówką oświatową regionu.

Gdy jednak mówimy o udziale Kazimierza Dradracha w życiu miejscowej szkoły, zastępczyni dyrektora Władysława Szydlik i jej koleżanki, tutejsze nauczycielki, zwracają uwagę także na tę jego rolę społeczną, która wiąże się z funkcją prezesa Zarządu Koła Miejsko-Gminnego ZBoWiD w Rychtalu. Wybierany na tę funkcję przez kilka kadencji przez ogół tutejszych kombatantów, pojmując ją — zgodnie ze statutem organizacji zbawidowców — także jako zadanie bliskiej współpracy z pedagogami w wychowaniu patriotycznym i internacjonalistycznym młodzieży. To nie żaden slogan. Pan doktor frazesów nie znosi, uważając się za człowieka konkretnego. Nie żałuje czasu na spotkania z młodzieżą i wymaga tego samego od kolegów-zbawidowców, którzy podjęli się roli prelegentów, propagujących w szkole najnowsze dzieje ojczyzny.

Tutejsze środowisko osadnicze (Rychtal położony w dawnym pasie przygranicznym — po ucieczce ludności niemieckiej w 1945 roku — został zasiedlony głównie przez zdemobilizowanych żołnierzy ludowego Wojska Polskiego), reprezentuje, oczywiście, różne profesje. Wśród dzisiejszych zbawidowców jest sporo rolników, którzy, jak Władysław Waszczuk, dawny żołnierz 21 pułku haubic, dziś zajęci są robotami w polu, ale i oni, na próbę nauczycieli tej placówki, noszącej imię zbawidowego patrona — Bojowników o Wolność i Demokrację — chętnie goszczą w szkole, zwłaszcza w kwietniu — tradycyjnym Miesiącu Pamięci Narodowej.

Stawiają się więc wtedy na różne imprezy i Mikołaj Onacki, inwalida wojenny, uczestnik bitwy pod Lenino w szeregach 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, i Ludwik Uruski, żołnierz 1 Armii WP, z którą zdobywał umocnienia Wału Pomorskiego, i Stanisław Gochna, zmobilizowany w 1944 roku do LWP, który w rok później uczestniczył w pamiętnych kwietniowych bojach przy forsowaniu Odry, i Aleksander Nasiadko, który walczył najpierw w kampanii wrześniowej, później w partyzancie, a wreszcie — wstąpiwszy do ludowego Wojska Polskiego — przeszedł cały szlak bojowy artylerii dywizyjnej 3 DP od przyczółka magnuszewskiego za Wisłą, przez Odrę, aż po kanał Hohenzollernów, nie opodal Berlina. I wielu innych, wszyscy którzy uważają, że mogą przydać się szkolnie.

Ich nazwiska, bojową drogę, odznaczenia dawne i dzisiejsze, udział w rozwoju rychtalskiej gminy przedstawiono w ekspozycji miejscowej Izby Pamięci Narodowej w gazetkach i albumach szkolnych. Są więc dobrymi znajomymi młodzieży. Jej — podobnie jak Kazimierz Dradrach — najlepszymi przyjaciółmi.

EUSTACHY GORZOWSKI

POLACY POTRZEBUJĄ SPOKOJU

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część wystąpienia wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego w czasie centralnej konferencji teoretyczno-politycznej dla nauczycieli, zorganizowanej przez resort

oświaty i wychowania w Warszawie, w dniach 12—13 marca bieżącego roku. Dziś publikujemy drugą część tego wystąpienia. Tytuł pochodzi od redakcji.

ostatniego króla Polski — Stanisława Augusta, który już i tak miał okrojona władzę, a którego atakowano na każdym kroku i krok po kroku odbierano mu i tak niewielką właśnie tę władzę. Chciano do końca zniszczyć państwo, żeby nie istniało, żeby przestało istnieć. Twierdzi, że byliśmy na najlepszej drodze do powstania takiej właśnie sytuacji.

Rozpadowi państwa polskiego trzeba było położyć kres. To był nasz patriotyczny obowiązek. Takie były okoliczności, które zmusiły władzę państwa do wprowadzenia stanu wojennego. Oczywiście, stan wojenny stworzył nową sytuację polityczną i polityczno-moralną w Polsce, stworzył także nową sytuację dla Polski w Europie i w świecie.

Dzisiaj, dość często w prasie zachodniej i w propagandzie zachodniej powtarza się zarzut, który sięga się do kraja poprzez Wolną Europę i inne radiostacje, że stan wojenny był przygotowywany od dawna. Pogląd ten głoszą także przywódcy „Solidarności”. Jest to zwyczajne kłamstwo. Kierownictwo partii i rządu przez wszystkie miesiące, nawet w najtrudniejszych chwilach, dalekie było od myśli o wprowadzeniu stanu wojennego. Prawdą jest, że od zakończenia zjazdu „Solidarności” — a był to koniec września — mieliśmy w kierownictwie rządu pełną świadomość, że sytuacja ulega stałemu pogarszaniu i że wszystkie nasze wysiłki, by proces ten zatrzymać, nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Ale i w tej sytuacji nie rezygnaliśmy z poszukiwania wyjścia politycznego.

W końcu października premier, w swoim wystąpieniu w Sejmie, przedstawił koncepcję powołania Rady Porozumienia Narodowego. To posunięcie polityczne mogło zahamować wspomniane negatywne procesy, rozwijające się w łonie polskiej gospodarki i w polskim życiu politycznym. Uważaliśmy, że koncepcja utworzenia Rady Porozumienia Narodowego, a później Frontu Porozumienia Narodowego stworzy sytuację, która zmusi wszystkie siły polityczne i społeczne, w tym także NSZZ „Solidarność”, do zgodnej współpracy. Była to koncepcja, która zrodziła się nie z myślenia taktycznego, lecz strategicznego. Jej autorzy wychodzili z założenia, że w latach osiemdziesiątych powstanie Frontu Porozumienia Narodowego, nie jednolici nerodowej, lecz porozumienia, jest konieczne.

W formule Porozumienia Narodowego zawierała się akceptacja zmian, które dokonały się w Polsce po sierpniu 1980 roku. W tej formule zawierała się akceptacja wielowirtopowalności, pluralizmu związków zawodowych itd. Można więc powiedzieć, że propozycja utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego była całkowicie zgodna z tymi generalnymi ideami, jakie ożywiały tych wszystkich, którzy zaakceptowali konieczność przeprowadzenia w Polsce programu określonego jako socjalistyczna odnowa. Żaden myśliciel człowiek nie może nam zarzucić, że byliśmy przeciwni zmianom, które dokonywały

się w strukturach społeczno-politycznych Polski i w umysłach ludzi.

Traktując propozycję Porozumienia Narodowego jak najbardziej serio, 4 listopada I sekretarz KC PZPR, premier Wojciech Jaruzelski spotkał się z prymasem i z przewodniczącym „Solidarności”. Brak czasu nie pozwalał mi na przypomnienie, co się działo wokół tego spotkania, dość, że Waleś wychodził z Gdańska do Warszawy wbrew wielu swoim kolegom z Prezydium Krajowej Komisji. Nawet jeden z nich powiedział: „Co tam pojedziesz do Warszawy, niech Jaruzelski do nas przyjedzie”.

W odpowiedzi na nasze wysiłki, zmierzające do osiągnięcia porozumienia, poczęstowano nas nową falą strajków i manifestacji. Od 4 listopada do końca listopada 1981 roku niemal codziennie miały miejsce w kraju strajki i różnego rodzaju akcje protestacyjne. Nie było ani jednego spokojnego dnia. Rosła także temperatura walki z PZPR. Szczególnie uwewnętrzniała się ona w batalii o tak zwany dostęp do środków masowego przekazu. Widzieliśmy, co wtedy pisano na murach miast nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce. Ale i wtedy kierownictwo partii i rządu nie dało za wygraną. W połowie listopada rząd przedłożył Sejmowi projekt ustawy dającej rządowi specjalne pełnomocnictwa dla ochrony państwa i obywateli. Jaka była odpowiedź „Solidarności” na projekt ustawy przesłanej do Sejmu? Zapowiedziano, że w przypadku, gdy Sejm ją uchwali, odpowiedzą strajkami generalnymi. Szóstego grudnia prymas Józef Glemp, zdaje się, że było to 6 grudnia, wysłał list do wszystkich posłów, w którym ostrzegał ich przed głosowaniem za ustawą. Występowali przeciwko projektowi ustawy ci wszyscy, którzy teraz szczerze rozpaczają z powodu wprowadzenia stanu wojennego. A przecież gdyby nie oponowali przeciwko tej ustawie, to nie jest wykluczone, że wprowadzenie stanu wojennego nie byłoby konieczne. Rząd otrzymałby pełnomocnictwa, które pozwoliły mu postrzyskać rozpasantą falę strajkową i położyć kres demontażowi państwa. Zapewniam Was, że prawa, które wprowadziła by ta ustawa, byłyby na pewno mniej ostre, mniej dokuczliwe, jak te, które wprowadził stan wojenny.

Mówię o tej sprawie dlatego, ponieważ podobnie jak w przypadku stosunków polsko-radzieckich wokół tego wszystkiego, co działo się w Polsce w ostatnich miesiącach, toczy się i toczyć będzie ostra walka polityczna.

W kierownictwie partii i rządu istniała pełna świadomość tego, co oznaczało wprowadzenie stanu wojennego, jakie przynosi na korzyść, ale także, jakie przynosi straty. Stan wojenny wprowadzono 13 grudnia był jedynym wyjściem dla kierownictwa kraju, jeśli nie chciało ono zasłużyć na zarzut utraty poczucia odpowiedzialności za losy państwa polskiego i jego obywateli. Nie było innego wyjścia. Czy ktoś tego chciał, czy nie, czy ktoś to planował, czy nie, w Polsce musiałyby dojść do wojny domowej. Stopień namiętności podnosił się coraz wyżej, wydarzenia

wymykały się spod kontroli i musiaboli dojść do przesilenia. Skoro już żadne apele polityczne, żadne posunięcia polityczne nie skutkowały, to przesilenie nieuchronnie musiało doprowadzić do rozlewu krwi. I byłaby to krew, która lałaby się strumieniami.

Dramat polegał na tym, że ludzie z „Solidarności”, ale nie tylko z „Solidarności”, nie chcieli wierzyć, że władza nie będzie bez końca przylgająca się działaniom pchać Polskę ku przepaści. Lekceważyli też wszystkie kolejne ostrzeżenia. A było ich sporo. Kto nie wierzy, niech zajrzy do zsywek gazet. Dramat polegał również na tym, że wszystkie te ostrzeżenia w kwatery głównej „Solidarności”, a także w niektórych zarządkach regionalnych, a szczególnie na Mokotowskiej, traktowano jako przejaw słabości, niemocy władzy. Niektórzy wyobrażali sobie, że władza leży już na ulicy i że wystarczy się po nią schylić. Myślę, że wielu działaczy „Solidarności” zarówno tych, którzy parli do konfrontacji, jak i tych, którzy byli jej przeciwni powinno zdobyć się na uczciwy obrachunek z niedawną przeszłością.

Stan wojenny spowodował także różnego rodzaju reakcje negatywne, krytyczne. Ale nie tylko. Są wśród nas, nie mam na myśli tej sali, również zjadali jego przeciwnicy. Próbuja walczyć z władzą. Można, oczywiście, bawić się w ulotki, można pisać lub tolerować pisanie hasł atakujących WRON i szefa rządu. Jest to działalność żalosna, dowód bankructwa politycznego. Jestem przekonany, że działalność ta nie znajdzie poparcia w szerokich kręgach narodu. Naród był już umęczony tymi wiecznymi strajkami, wiecznymi nerwowymi drgawkami.

Polacy potrzebują spokoju. I ten spokój musimy zagwarantować. Dzisiaj nikt z nas nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie: „Jak długo będzie trwał stan wojenny”? I nie jest to, jak mi się wydaje, w tej chwili sprawa najważniejsza. Najważniejsza jest to, czy będzie można w spokoju pracować i w spokoju realizować program śmiałych reform gospodarczych i społecznych, bo od tego zależeć będzie przyszłość Polski, przyszłość naszego kraju, przyszłość młodego pokolenia. Polska musi stanąć na nogi, musi wyjść z kryzysu. Wiadomo, że nie wydaje, jeśli miałyby znowu porazić się w otchłań strajków, demonstracji, protestów itp.

Dzisiaj postawy ludzkie są bardzo zróżnicowane. Od pasywności do aktywności, od aprobaty stanu wojennego do stanowczego zwalczania tego stanu, od chęci właszenia się w rytm codziennej pracy do myślenia konspiracyjnego lub działania w tym kierunku. W ciągu ostatnich dwu miesięcy, a może w ostatnim miesiącu, w postawach wielu obywateli zachodzą korzystne zmiany. Jak wynika z przeprowadzonych przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej badań, większość Polaków akceptuje istnienie stanu wojennego, co jednak nie oznacza, że jest to równoznaczne z akceptacją naszej polityki. O zdobyciu dla niej poparcia musimy walczyć. I będziemy walczyć, stwarzając jakieś świadczące, że zamierzamy konsekwentnie wcielić w życie program socjalistycznej odnowy.

Obecnie trwa dyskusja na temat przyszłości ruchu związkowego. Jest ta dyskusja interesująca, ponieważ wynika z niej, że społeczeństwo jest w tej kwestii bardzo zróżnicowane. Na jednym biegunie znajdują się ci, którzy mówią, że nie chcą mieć nic wspólnego ze związkami zawodowymi, na drugim ci, którzy twierdzą, że „Solidarność” musi się odróżnić na takich samych zasadach, w oparciu o taką samą strukturę, jaka istniała do 13 grudnia. Między tymi dwiema skrajnościami spotykamy różne poglądy na temat przyszłości związków zawodowych. Nie jesteśmy nimi przeżarci.

W związku z aktualną sytuacją polityczną pragnę kilka słów poświęcić omówieniu działania, nazwijmy to tak, o charakterze konspiracyjnym. W niektórych środowiskach mówi się, że Polska grozi wielką konspiracją. Nie podzielał tego poglądu. Jest faktem, że spotykamy się z działalnością konspiracyjną, również na terenie szkół ponadpodstawowych, ale nie jest to zjawisko masowe. To nie oznacza, że powinniśmy je lekceważyć. Szczególnie na terenie szkoły. Trzeba to zjawisko dostrzegać i aktywnie mu przeciwdziałać. Istnieją także różnego rodzaju ulotki, są tacy, którzy przepisują na maszynie różnego rodzaju zwzwanja, biuletyny, kolportują je itp. Trudno powiedzieć, ile jest w tym głupoty, ile chęci uczestni-

czenia w przygodzie, a ile zamierzonej działalności. Bo i z taką na pewno mamy do czynienia. Wszystkie te fakty są przez nas i naszą służbę bezpieczeństwa uważane analizowane.

Chcę prosić Was, abyście tępli w zarodku każdy przejaw konspiracyjnej działalności młodzieży. Jest to działalność bezowocna i bezsensowna. Szkoda młodych ludzi. A najgorsze, co mogłoby się stać, to udział nauczyciela bądź to w organizowaniu takich działań, bądź też w zajmowaniu stanowiska pobłażliwego. Każdy nauczyciel, który pomaga w organizowaniu różnych podziemnych organizacji, choćby były one ze swej natury szczeniackie, bierze na swoje sumienie wielką odpowiedzialność za losy tego kraju dziś i jutro. Powinien także pamiętać, że władza ludowa nie będzie wobec niego pobłażliwa. Nie możemy być pobłażliwi wobec głupców, ludzi nieodpowiedzialnych, bądź też wobec wrogów socjalizmu. Nie po to władze państwa zdecydowały się na tak dramatyczny krok, jakim było wprowadzenie stanu wojennego, by teraz dopuścić do zwycięstwa głupoty w naszym kraju, względnie też do zwycięstwa niezdrowych ambicji. Stan wojenny, powtarzam to, został wprowadzony po to, by Polska mogła powrócić na tory spokojnej, niezakłóconej nieodpowiedzialnymi działaniami pracy, by kraj mógł skutecznie, z korzyścią dla obecnych i przyszłych pokoleń realizować obszerny program reform gospodarczych i społecznych.

Szanowni zebrani! Nie jestem fachowcem w dziedzinie oświaty. Każdy z Was wie lepiej, co w tej oświatowej sprawie piszczy, co budzi zadowolenie, a co rodzi niepokój. Skoro jednak nie ma nic doskonałego na świecie, to pozwólcie ze sformułować wniosek o pilnej potrzebie zastanowienia się, właśnie w świetle doświadczeń minionego roku, nad skutecznością naszego modelu wychowawczego, nad skutecznością działalności nauczycielskiej wśród dzieci i młodzieży. Trzeba — jak sądzę — postawić pytanie: co w tym modelu należy zmienić? Być może, trzeba się zastanowić nad tym, jak zbliżyć młodzież do pracy fizycznej, jak uczuć szacunek do pracy fizycznej. Powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, co trzeba zmienić, co trzeba ulepszyć w modelu pracy oświatowej, w modelu pracy wychowawczej. Myślę, że trzeba spojrzeć krytycznie przede wszystkim na organa władzy funkcjonujące na terenie oświaty, a więc i na Ministerstwo Oświaty, na jego sposób funkcjonowania, na kuratoria. Mówię to nie po to, by rozdawać krytyczne uwagi, lecz dlatego, ponieważ wiele naszych struktur kierowania i zarządzania wykazuje różnego rodzaju choroby, które nieraz bywają przyczyną kłopotliwych sytuacji politycznych i społecznych w kraju. W każdym bądź razie na całym froncie oświatowym wszyscy powinni zastanowić się nad tym, jakie wnioski należy wyciągnąć z przeżyć i doświadczeń ubiegłego roku.

Swoje uwagi na temat aktualnej sytuacji w kraju, postaw ludzi, poglądów, chciałbym zakończyć powołaniem się na Makska Webera, który — podobnie jak wielu myślicieli — przypomniał, że w polityce obowiązuje nie etyka pryncypów, lecz etyka odpowiedzialności. Odpowiedzialność nie za intencje, lecz za skutki działania. Postawmy zatem kropkę nad „i”: kto wybiera jakieś działania tylko dlatego, aby być w zgodzie z własnym sumieniem, ten w istocie jest egocentrykiem, chce budować sobie pomnik moralisty. Człowiek nie biorący pod uwagę, że każde działanie pociąga za sobą skutki nie tylko dla działającego, nie rozumie praw rządzących życiem społecznym. I może jeszcze cytat, nad treścią którego warto się choćby przez chwilę zastanowić. W książce pt. „Nadzieja”, pisał André Malraux, jeden z bohaterów tak mówi: „Polityka nie jest współzyciem ze snami, nie można wybierać marzenia, wybierasz nas, albo ich, też lub tamta z sił działających, reszta to złudzenie”.

UWAGA CZYTELNICY!

Jesteśmy ciekawi Waszych refleksji dotyczących wystąpienia Mieczysława F. Rakowskiego!

Napiszcie do nas. Listy będziemy drukować!

CD ZE STR. 1

Nastąpiła wyraźna — jak mówię — poprawa dyscypliny. Gdyby nie rygory stanu wojennego, nie wiem, czy byłoby możliwe prowadzenie procesu dydaktycznego nawet w takim kształcie, jak obecnie. Pracy bowiem mamy mnóstwo, a czasu w skróconym, siłą rzeczy, semestrze mniej.

W miarę szybko przystosowano programy nauczania do niernormalnego semestru. To fakt, że pracę widać. Przede wszystkim w laboratoriach, gdzie niektóre zajęcia trzeba było przełożyć na późne godziny popołudniowe, w ruchu na uczelni, trwającym do późnych godzin. W tym odmiennym, krótszym od normalnego semestru nie ma czasu na odrabianie dodatkowych zaległości i opuszczanie zajęć.

Taki stan zdecydowanie obciąża studentów — mówi mgr Henryk Juszyński, kierujący laboratorium Wydziału Fizycznego. W poprzednich semestrach na przykład ćwiczenia laboratoryjne zajmowały siedem dni, obecnie, na skutek skrócenia semestru, jeden dzień wypadł. Ta strata jest bezpowrotna. Niektóre grupy są wręcz nadmiernie liczne, bo zdecydowanie poparła się frekwencja na zajęciach. Borykamy się z problemami ciasnoty. Dodajmy do tego zmniejszoną ilość wykładów (z planu i tu wypada jeden, dwa dni, to jest około czterech godzin z jednego przedmiotu), a otrzymamy prawdziwy obraz stanu na dziś. Dobrze przynajmniej, że zaczęli iść normalnie. Potem, oczywiście, będziemy mieli sesję egzaminacyjną „w biegu”, początek nowego semestru, który w tym roku trwać będzie, zdaje się, do końca lipca. Jak widać, my, pracownicy, w zasadzie nie będziemy mieli urlopu. No cóż, jedziemy na jednym wózku, ci, którzy strajkowali i ci, którzy przeciw strajkom protestowali. Trzeba jakoś pociągnąć ten rok, nie ma innego wyjścia.

Może źle się stało, że ministerstwo nie zgodziło się na stratę tego jednego semestru. Ta decyzja, sprzeczna z zamierzeniami władz uczelni, dziś odbija się na WSI szczególnie mocno. I choć wszystkie jej jednostki pracują w zasadzie normalnie, to jednak tylko o tyle, o ile normalna może być praca zakładu usilnie „goniącego” plan.

Formalnie pracujemy normalnym trybem, niemniej naiwnością byłoby sądzić, iż życie uczelni całkiem wróciło do normy. Mimo wysiłków nie udało nam się, niestety, osiągnąć jednolitości działania wszystkich, niezależnie od tego po której stronie barykady jeszcze kilka miesięcy temu ci ludzie stali — mówi doc. Sala. — Zdajemy sobie sprawę, że niski jest stopień świadomego uznania obecnych interesów uczelni, racji stanu wojennego. Ja rozumiem, że niewątpliwie rygory odciążają się na psychice tak młodzieży jak i kadry, mam jednak nadzieję, że z czasem będziemy umieli wspólnie działać dla dobra WSI.

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że proces normalizacji liczyć trzeba będzie nie na tygodnie, że odrabianie strat przeciągnie się nie tylko na ten semestr. Na ile środowisko otrząsnęło się z niedawnych przeżyć — przekonanie się będzie można dopiero za rok, dwa... Teraz bowiem w atmosferze napiętego odrabiania zaległości trudno nie tylko o chwilę głębszej refleksji, ale także i o bilans strat i szans. Dziś można powiedzieć tylko to, że mimo iż właściwie na razie przekreślone zostały nadzieje na utworzenie tu politechniki, to jednak nadal otwarte są możliwości sięgnięcia przez WSI po te dziedziny techniki, które nie są kulturowane na innych uczelniach technicznych w kraju. W tym tkwi szansa uczelni. Tym bardziej więc — zdaniem jej władz — liczyłoby się obecnie odłożenie na bok waśni i nieporozumień.

OBawy i wątpliwości

Jeden z pracowników inżynierijno-technicznych dopiero po zapewnieniu, że w artykule nie padnie jego nazwisko ani też nazwa instytutu, w którym pracuje, swój pogląd na obecną sytuację wyraził następująco: — Proszę pana, nikt panu nie powie szczerze, co myśli; nikt nie będzie ryzykował tuż przed weryfikacją. Jest tu u nas za dużo niewiadomych, za dużo plotek o tym, kto pójdzie na pierwszy ogień...

— Ale przecież, jak dotąd, nikt nie został zwolniony — oponuje.

— Fakt, nie było zwolnień, nikogo od nas nie internowano. Żaden ze studentów nie był relegowany, ale czy to znaczy, że zwolnień nie będzie? — pada w odpowiedzi.

Weryfikacja traktowana jest tu, zdaje się tak, jakby miała mieć miejsce tylko w tej uczelni. Wątpliwości pogarsza w dodatku brak bliższych informacji co do jej rozmiarów i metod. Krają więc plotki, jakoby zwolnieni mieli być przede wszystkim

najbardziej aktywni w czasie strajku członkowie „Solidarności”, a na stanowiska docentów „pójdą” ci z uczelnianego Komitetu Protestacyjnego. Na niższych szczeblach mówi się, że docenci mają być kontraktowi, ale tak naprawdę to nie kontraktowi na ten temat powiedzieć się nie da.

Dr. T. nastroje tego typu określa krótko: — Wszyscy w pewnym sensie czujemy się mniej lub bardziej zagubieni. „Wisząca” nad głowami weryfikacja odbierana jest przez wielu niesamodzielnymi pracowników naukowych jako realne niebezpieczeństwo. Wie pan, łatwo powiedzieć — nie sprawdziłeś się tutaj, spróbuj gdzie indziej. Gdzie próbować — w Radomiu, w obojętnej? Czy pan wie, że niektóre zakłady pracy fundujące stypendia naszym studentom, godzą się nadal płacić pieniądze, ale pod jednym warunkiem — że absolwent nie będzie ubiegał się o pracę u fundatora!

Mniej lub bardziej uzasadniona niepewność co do swojego jutra w uczelni jest przyczyną skłótn między jej dzisiejszego oblicza. Rozmawiałem w rektoracie na ten temat. Zapewniono mnie, że weryfikacja będzie po prostu sprawdzeniem tylko przydatności kadr, a nie jakimkolwiek „odgryzaniem się”, że oprze się ją na rzetelnej ocenie dorobku i pracy każdego pracownika. Rozmawiałem z rektorem i jestem przekonany, że wiele z tych obaw to po prostu wielkie oczy przyszłowiowego strachu.

STOPIC LÓD NIEUFWOŚCI

Największe bodaj straty ponieśliśmy w dziedzinie kontaktów z młodzieżą. Strajk ubiegłoroczny nie tylko bowiem zerwał wiele nici łączących kadrę ze studentami, ale i psychicznie okaleczył młodzież — twierdzi doc. Sala. — Dziś stanęliśmy więc przed pytaniem: Czy uda się scalić to, co podzielone? Musimy więc jakby na nowo tworzyć tę uczelnię, tworzyć w sensie psychicznym. Nie będzie to łatwe, część młodzieży jest sfrustrowana, zagubiona. Do niedawna brak nam było prężnej organizacji studenckiej. Zdajemy sobie sprawę, że do młodzieży nie dotrzemy poprzez apele, że to możliwe tylko przez konkretną pomoc. Brak jednak takiej organizacji, to pozabawienie nas, nauczycieli akademickich, szansy na poznanie na nowo studentów, na odnalezienie w nich partnera, który mówiłby nam nie o wczorajszych, lecz o dzisiejszych naszych błędach.

Pierwsze kroki w tej sprawie zostały już zrobione. W miarę szybko reaktywowano działalność SZSP i ZMW „Wici”. Uruchomiony został samorząd domów akademickich, studencki klub „Atrium”, w marcu, utworzone zostało Centrum Kultury Studenckiej. Z inicjatywy prorektora, Aleksandra Sali w połowie kwietnia odbędzie się spotkanie studentów z poszczególnych lat i grup.

Licze, że spotkania te pozwolą nam przekonać się, czy dzisiejszy stan studenckich umysłów to tylko chwilowe przyszczenie przemieszczaniem ostatnich miesięcy, czy też bardziej świadome zamknięcie w świecie własnych wątpliwości. Dziś trudno nam stawiać tego typu diagnozę.

W tym świetle trudno więc przecenić wysiłki zmierzające do jakościowych zmian form kontaktów ze studentami. Nowego znaczenia nabiera wiele instytucji, które do tej pory traktowano formalnie. Opiekun roku na przykład musi przestać być tylko łącznikiem między studentem a władzą uczelni, musi zaś być rzeczywistym pomocnikiem młodzieży. Taki przynajmniej jest program, takie zadania stawia się dziś na WSI przed opiekunem roku. Problem istotny, zważywszy fakt przetrwania innych kanałów przepływu informacji o studenckich kłopotach i potrzebach, fakt wyraźnej często niechęci do podejmowania prób obrony własnych interesów.

Antoni Stankiewicz, student IV roku, przewodniczący uczelnianej organizacji ZMW „Wici” o tych sprawach mówi krótko: — Trudno jest dziś pociągnąć ludzi do jakiegokolwiek pracy, stracili zapał. Jest jakaś taka pustka, ludzie rozłożyli ręce i czekają. Ja sądzę, że ten rok akademicki jest chyba stracony dla jakiegokolwiek szerszej działalności. Dlatego my też w pewnym sensie liczymy na większą aktywność opiekunów lat. Tym bardziej że w

przeszłości opiekun ten bywał często wszystkim, tylko nie rzeczywistym rzecznikiem studenta.

Studentów „bije” w tej chwili właściwie wszystko — przeładowany program, ostry regulamin studiów, brak czasu, nawet na naukę własną. Trudno się dziwić, że są tacy, jacy są, że w odruchu tkwiącego jeszcze w nich buntu, na przykład udają, że przestali poznawać niektórych członków władz uczelni.

— To trzeba zrozumieć. Kiedy wprowadzono stan wojenny, wszyscy sobie po cichu myśleli: — Teraz dopiero dadzą nam w kość. Ludzie byli wręcz pewni, że regulamin z 1958 roku został wprowadzony tylko u nas, że łąda dzień zacznie się relegowanie z uczelni, pozabawienie stypendiów, miejsce w akademikach. Ja sądzę, że wielu nadal nie wierzy, iż z tej sytuacji nie grozi, że w duchu obawiają się, iż jeszcze może ich to spotkać — mówi Antoni Stankiewicz.

Teraz wiem, dlaczego ci dwaj z bufetu unikał rozmowy. Lód nieufności jeszcze grubą warstwą zalega w umysłach. Tym bardziej, że za wcześnie jeszcze na konkretne efekty działania niedawno powołanych pełnomocników do spraw społeczno-bytowych, kultury, radiowęzłów. Tym bardziej że są oni traktowani przez młodzież nie jako pełnomocnicy, lecz kontrolerzy studenta. Pierwsze doświadczenia zdobywają utworzone ze starostów i opiekunów lat wydzielone rady do spraw młodzieży. Choć wszystkie te działania niewątpliwie są owym światłem w tunelu, to mimo wszystko to światło jest jeszcze bardzo blade. Na razie świtają nadzieje na reaktywowanie działalności kulturalnej, sportowej. Jeśli to „chwyci”, będzie można mówić o kroku naprzód. Jak na razie, w związku z organizowanymi dwoma turniejami — w siatkówkę i tenisie stołowym — o puchar rektora, prorektor do spraw dydaktyki i wychowania zalecił kadrze udział w obu turniejach.

— Jeśli nie studenci, to kadra rozegra te zawody. Trudno, musimy w jakiś sposób tę barierę nieufności przełamać — mówi doc. Sala. — Zachęć młodzież do wyjścia z kręgu bezczynności. Pierwsze oznaki studenckiej aktywności, na szczęście, już są widoczne. Oto na przykład w klubie „Atrium” rozpoczęły się pierwsze imprezy, o ZMW „Wici” podjął próbę uruchomienia czegoś w rodzaju biura pośrednictwa pracy. Nawiazane zostały kontakty z wojewódzkimi przedsiębiorstwami obsługi rolnictwa, wśród których zbiera się propozycje pracy dla absolwentów WSI-członków Związku. Wychodzenie „z dolki” nie jest jednak łatwe.

Wyjeżdżałem z Radomia z mieszanyimi uczuciami. Z jednej strony ciekawość, jak ulotki się nie dało. Z drugiej... te kloki jednak do siebie pasują. Może to faktycznie tylko kwestia czasu? Przypomniałem sobie, co dwa dni temu, w krótkiej rozmowie powiedział prof. Michał Hebda, rektor uczelni: „Przez 38 lat wychowywaliśmy społeczeństwo na półprawdach, na zasadach obiecań, że się da, że się należy. Czy panu kazało coś w życiu zdobyć? Pozbawiliśmy społeczeństwo instynktu walki o byt. Nikt nie mówi — ja potrafię to osiągnąć, wywalczę. Wywalczę, oczywiście, pracą, koncepcją, wizją przyszłości. Dziś słyszymy — nam to się należy, dajcie to czy tamto. Nadaliśmy sobie prawo do przynajmowania postawy wyzkułojacozadającej. A ja się pytam: — Za co, na jakiej podstawie? Myślę, że obecnie każdy stoi przed koniecznością wywalczania sobie miejsca w życiu, społeczeństwie, właśnie postawą, dorobkiem rak. To samo zadanie stoi także przed tą uczelnią, która bynajmniej nie jest inna od pozostałych uczelni technicznych. Wydaje mi się, że nie do wszystkich ta prawda dotarła. Taka, niełatwa to prawda, bo przecież niełatwo przyjąć zniechę do wiadomości, że oto trzeba będzie zmagać wiele w swym życiu, w widzeniu siebie i społeczeństwa”.

Tak mówi rektor WSI dziś, pięć miesięcy po pamiętnych dla uczelni wydarzeniach. Sądzę, że ma rację.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

W OPARCIU O DOŚWIADCZENIA

CD ZE STR. 1

w stanie ani skutecznie rozwiązywać, ani właściwie reprezentować interesów środowiska pracowników nauki i szkolnictwa wyższego.

Ze była to decyzja słuszną i zwłaszcza przez pracowników nauki przyjętą z dużym zadowoleniem, świadczy fakt, iż do ZNP-Nauka zgłosili swój akces naukowcy z pla-ówek, w których nigdy uprzednio ZNP nie był reprezentowany. Przykładem może być Instytut Morski w Gdyni, Akademia Medyczna w Krakowie, Instytut Ziemiarski w Poznaniu i inne.

O celowości przeprowadzonych zmian, a także o poparciu dla polityki prowadzonej przez ZNP (federację) może też świadczyć fakt, iż na 30 czerwca 1981 roku Związek liczył 490 tys. członków, pracowników oświaty i nauki. Był to dowód dojrzałości politycznej rzesz członkowskich, jak również potwierdzenia, iż kierunki działania ZNP jako całości oraz każdego z bratnich związków w pełni odpowiadają środowisku pracowników oświaty i pracowników nauki, i bardziej — ich zdaniem — zgodne są z interesem kraju niż tendencje przejawiane przez NSZZ „Solidarność”.

Te kierunki działania były zresztą logiczną konsekwencją, prostą kontynuacją lewicowej i patriotycznej orientacji stanowiącej główną wytyczną programu ZNP od początku istnienia tej organizacji. Wyrażały ją wszystkie programy uchwalane na poprzednich zjazdach, a w pełni potwierdził również ostatni, w czerwcu 1981 roku. Głęboki patriotyzm, który cechował ZNP od początku jego istnienia Związek potwierdził w latach okupacji, uczestnicząc w ruchu oporu i w organizacji tajnego nauczania.

Deklaracja ideowa, przyjęta na Zjeździe Delegatów 12 czerwca 1981 roku stanowi wyraz woli członków Związku pozostania wiernymi tym samym ideom: idei patriotyzmu i postępu społecznego. Zawiera ona potępienie szowinizmu i nietolerancji, zobowiązanie wychowywania młodzieży na światłych obywateli socjalistycznej ojczyzny, zgodnie z zasadami patriotyzmu i internacjonalizmu, zobowiązanie przestrzegania w działalności związkowej zasad ustroju konstytucyjnego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tylekroć manifestowana identyfikacja pracowników nauki i oświaty z ludźmi pracy, a zwłaszcza z klasą robotniczą, znalazła swój wyraz choćby w takim fakcie, jak utworzenie w 1981 r. — z inicjatywy ZNP — Funduszu Stypendialnego im. Robotników Wybrzeża, którego celem było wspomaganie zdolnej młodzieży robotniczej, mającej trudne warunki materialne.

Mimo głębokich przeobrażeń, które nastąpiły w ZNP po sierpniu 1980 roku, mimo rzeczywistej odnowy w stylu i formach działania organizacji, Związek stał się przedmiotem ostrej krytyki działaczy zrzeszonych w „Solidarności”. Niezrozumienie dla jego działalności i niedocenianie liczebnej siły związku wykazywały zresztą również władze resortowe. Są na to liczne dowody. Nieuzasadniona żadnymi racjonalnymi przesłankami postawa władz jaskrawie ujawniała się w negatywnym stosunku resortu nauki, szkolnictwa wyższego i techniki do ZNP-Nauka. Resort wyraźnie uległ żądaniom i postulatowi „Solidarności”, podpisując z nią porozumienie przy całkowitym pominięciu ZNP-Nauka (przykład: porozumienie łódzkie, czy gdańskie z grudnia 1980 roku). Podobne przykłady znaleźć można również w stosunkach między resortem oświaty i wychowania a ZNP-Oświata.

To niechęć do Związku Nauczycielstwa Polskiego ujawniała się także w niezrozumiałej „blokadzie” informacji związkowych, stosowanej przez środki masowego przekazu. Wszelkie materiały pochodzące z ZNP, a zwłaszcza niektóre oświadczenia zawierające krytyczną ocenę poszczególnych wystąpień czy form działania Krajowej Komisji „Solidarności”, z najwyższym trudem udawało się działaczom Związku umieścić w prasie centralnej (przykład: oświadczenie w sprawie bezzasadnego przyznania sobie przez KK NSZZ „Solidarność” prawa do reprezentowania całego narodu; oświadczenie w sprawie strajku w WSI Radom itp.). Ilustracją niechętnego stosunku środków masowego przekazu do ZNP może być porównanie liczby opublikowanych w „Polityce” wypowiedzi przedstawicieli ZNP-Nauka na temat projektu ustawy o szkolnictwie

wyższym z liczbę głosów przedstawicieli innych central związkowych.

Na marginesie warto dodać, że występując nawet z krytyczną oceną poszczególnych posunięć „Solidarności”, ZNP przez cały czas wyrażał gotowość współpracy tak z „Solidarnością” jak też innymi związkami i zachowywał otwartą postawę wobec ich członków w szkołach i placówkach naukowych. Postawa ta wynikała nie tylko z tradycji ZNP, opartych na tolerancji wobec odmiennych poglądów, lecz także z uznania „Solidarności” jako jednej z form organizacyjnych odrodzonego ruchu robotniczego, ruchu zmierzającego do złamania biurokratycznego monopolu władzy, do demokratyzacji kraju. Jeśli więc nawet występowały między obu związkami (ZNP i „Solidarnością”) różnice poglądów co do sposobu rozwiązywania poszczególnych problemów, czy też co do kierunków działalności, to przecież zarówno „Solidarność”, jak zwłaszcza należący do niej pracownicy nauki czy oświaty, byli dla ZNP naturalnymi partnerami do rozmów i współdziałania.

O trudnościach, które napotykał ZNP w swojej złożonej działalności świadczyć również może długotrwałość zabiegów o uznanie przez organa administracji państwowej ZNP jako samodzielnej centrali związkowej.

Decyzja o utworzeniu samodzielnej centrali i nieprzystępowaniu do jakichkolwiek zrzeszeń podjęta została na Zjeździe Delegatów, w kwietniu 1981 roku. Spowodowana ona była, opartym na doświadczeniach z lat ubiegłych, przekonaniem członków, iż swoistość pracy nauczycielskiej i naukowej, a także szczególny charakter Związku, nadający mu cechy zarówno organizacji zawodowej, jak też stowarzyszenia twórczego, nie przystaje do organizacji zrzeszających pracowników innych branż i nie znajduje w nich zrozumienia.

Zrzeszając przedstawicieli oświaty i nauki polskiej, ZNP ponosi szczególną odpowiedzialność za przyszłość kraju, co — w oparciu o obowiązujące ustawodawstwo krajowe i ratyfikowane konwencje międzynarodowe — zobowiązuje go i uprawnia do wypowiadania się na temat wszystkich istotnych dla całego społeczeństwa spraw. Podjęta w kwietniu 1981 roku decyzja o utworzeniu samodzielnej centrali uznana została przez władze dopiero w połowie sierpnia 1981 roku, a zatem po blisko czterech miesiącach.

Ukazanie tych faktów ma na celu przypomnienie trudnej i złożonej sytuacji, w której — w ciągu minionych dwu lat — przychodziło działać Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, a zwłaszcza ZNP-Nauka, który to ostatni, jako organizacja w pewnym sensie nowa, musiał wypracowywać sobie zarówno formy działania, jak też należną mu pozycję w ruchu związkowym. A mimo to właśnie w minionym okresie podjęto szereg inicjatyw, włączając się szeroko w życie kraju.

I tak na przykład, dążąc do współpracy przy porządkowaniu i normowaniu spraw społeczno-gospodarczych Związek brał udział w pracach legislacyjnych, zmierzających do przygotowania projektów takich ustaw, jak: Karta Nauczyciela; Kodeks Pracy; ustawa o szkolnictwie wyższym; o Polskiej Akademii Nauk; o instytutach naukowo-badawczych; o kontroli publikacji i widowisk; o krajowym systemie plac.

Przedstawiciele ZNP uczestniczyli też w pracach Rządowej Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej, przekazując pełnomocnikowi rządu opinie na temat ustawy o cenach, o opodatkowaniu jednostek gospodarki uspołecznionej, o statystyce państwowej, o prawie bankowym, o gospodarce finansowej przedsiębiorstw, a wreszcie o nadawaniu uprawnień do prowadzenia działalności w handlu zagranicznym.

Do tego szerokiego udziału w pracach legislacyjnych upoważniał i zobowiązywał Związek fakt, iż właśnie w szeregach ZNP, a zwłaszcza ZNP-Nauka skupieni byli pracownicy nauki reprezentujący wszystkie dyscypliny, wysokiej klasy specjaliści, których wiedza mogła stanowić poważny wkład do dorobku poszczególnych komisji. Co więcej, Związek zrzeszający tak liczne rzesze pracowników oświaty i nauki nie mógł pozostać na uboczu żadnych spraw istotnych dla przyszłości kraju.

To przekonanie o współodpowiedzialności za los kraju wyznaczało też charakter stosunku ZNP do władz administracyjnych,

stosunku nacechowanego obywatelską troską o dobro ojczyzny, rzeczową krytyką i gotowością do twardej obrony interesów nauki i oświaty oraz pracowników obu tych dziedzin. Dlatego właśnie, w zrozumieniu rzeczywistego ogólnospołecznego interesu, zwłaszcza zaś w poczuciu odpowiedzialności za młodzież, ZNP — jako całość, mimo wielu napięć, które występowały w minionym okresie — nigdy nie ogłaszał i nie przystępował do strajków. Wyraził też 26 października 1981 roku potępienie wobec wciągania do akcji strajkowych młodzieży szkolnej. Przez cały czas deklarował przy tym gotowość współpracy z władzami w rekonstrukcji życia społeczno-politycznego, co znalazło swój wyraz w rozmowie z wicepremierem, M. F. Rakowskim (1 czerwca 1981) oraz z premierem, W. Jaruzelskim (16 listopada 1981).

Kontynuując wieloletnie tradycje walki o świeckość szkoły, przedstawiciele Rady Głównej ZNP złożyli 24 sierpnia 1981 roku wizytę prymasowi Polski, J. Glempowi. W rozmowie tej delegacja ZNP, deklarując wolę porozumienia ze wszystkimi siłami społecznymi w kraju, wyraźnie podkreśliła nienaruszalność świeckiego charakteru szkoły, oświadczając jednocześnie, iż szkoła jako instytucja wychowawcza nie powinna być miejscem walk światopoglądowych, powinna zachowywać zasady tolerancji wobec wierzących i niewierzących.

Obok działalności na forum krajowym, ZNP nie zaniedbał w tym czasie od dawna istniejących kontaktów z organizacjami nauczycielskimi w krajach socjalistycznych, a także uczestniczył w pracach Berlińskiego Centrum Regionalnego Światowej Federacji Pracowników Nauki. Przedstawiciele ZNP-Nauka aktywnie występowali na rzecz rozbrojenia w czasie paryskiej konferencji Światowej Federacji Pracowników Nauki (lipiec 1981) oraz na rzecz przeciwdziałania bezrobociu na londyńskiej konferencji tejże organizacji (wrzesień 1981).

Rozległa działalność Związku, w przekonaniu większości członków i aktywistów ZNP, powinna być możliwie jak najszybciej wznowiona i kontynuowana. Jakie zadania — zdaniem członków — stoją obecnie przed ich organizacją? Przede wszystkim — reaktywowanie organizacyjnych struktur związkowych i konsekwentna realizacja uchwał podjętych na Zjeździe Delegatów 12 czerwca 1981 roku, przy ścisłym przestrzeganiu wszystkich artykułów statutu Związku. Zgodnie z uchwałą, Związek powinien dążyć do zakończenia prac nad ustawami o szkolnictwie wyższym, o Polskiej Akademii Nauk, o instytutach naukowo-badawczych, a także o stopniach i tytułach naukowych.

Za pilne uważa się przyspieszenie prac nad rozporządzeniami o zasadach finansowania nauki i placach pracowników zatrudnionych w szkolnictwie wyższym oraz w placówkach naukowych.

Obok dążeń do poprawy warunków życia i pracy pracowników zatrudnionych w pionie nauki i oświaty, Związek powinien systematycznie zabiegać o przekonanie władz państwowych, że poziom produkcji, szczególnie w okresie kryzysu ekonomicznego, jest pochodną rozwoju sił wytwórczych, których ukształtowanie zależy w głównej mierze od oświaty, nauki i techniki.

Upowszechniać należy też w społeczeństwie świadomość, że problemy środowiska ZNP nie mają wyłącznie związkowego charakteru, lecz stanowią istotne zagadnienia dla całej nauki i oświaty w kraju, dla ludzi odpowiedzialnych za rozwój tych dziedzin.

W kręgu zainteresowania Związku musi pozostać sprawa realizacji reformy gospodarczej i troska o to, aby w samodzielnych przedsiębiorstwach zostały zapewnione fundusze na badania naukowe, postęp techniczny i modernizację.

Poza tym Związek powinien uczestniczyć w inicjatywach służących wzmocnieniu państwa przez dążenie do politycznego rozwiązywania konfliktów społecznych i porozumienia narodowego. W tych wszystkich dziedzinach ZNP może odegrać istotną rolę, reprezentując znaczną część środowiska inteligencji polskiej. Tym bardziej że w działalności swojej może korzystać z bogatych doświadczeń, gromadzonych w ciągu ponad 75-letniej chlubnej historii.

WIKTOR PIOTROWSKI

TAKIM POWINIEN POZOSTAĆ

Nam o Związku Nauczycielstwa Polskiego dyskusji nie trzeba, ale trzeba koniecznie raz jeszcze uświadomić sobie, kim byliśmy, jaki był nasz Związek przez 77 minionych lat. Otóż byliśmy i jesteśmy organizacją zawodową, którą spośród działających związków zawodowych wyróżniały przynajmniej następujące specyficzne cechy: nazwa, przeszłość, reakcja na wydarzenia sierpniowe 1980 roku, struktura organizacyjna.

Jeżeli chodzi o nazwę, to nie wyobrażam sobie trafniejszej i piękniejszej dla związku zrzeszającego pracowników nauki i oświaty. Nazwa naszego Związku (ZNP) zawiera coś więcej, aniżeli nazwę związku zawodowego.

O przeszłości, tradycji, historii ZNP napisano wiele, ale niewielu ją dokładnie poznało, szczególnie młodych. Niewielu wie, że jest to organizacja z piękną tradycją, postępową i rewolucyjną przeszłością, mająca wielkie zasługi w walce o polską szkołę, o powszechność nauczania, o przetrwanie w latach hitlerowskiej okupacji. Nie wolno nam o tej przeszłości zapominać, nie wolno zaprzepaścić dorobku naszych wspaniałych, patriotycznie myślących i działających poprzedników.

Nie wiem, może się myśle, ale reakcja ZNP na wydarzenia sierpniowe 1980 roku była właściwa, godna nauczycielskiej organizacji. ZNP pierwszy (wśród innych związków zawodowych) nawiązał kontakt ze stoczniovcami w Gdańsku, pierwszy wystąpił z CRZZ, pierwszy wrócił do tradycyjnej trójstopniowej struktury organizacyjnej. Usilnie zabiegał o nawiązanie dialogu i współpracy z NSZZ „Solidarność” w imię ogólnego dobra. Bezskutecznie. Nasz Związek usilnie starał się też uchronić dzieci i młodzież przed demoralizującym wpływem szeroko zakrojonych akcji strajkowych. Nigdy nie utożsamiał byłego rządu i jego funkcjonariuszy z państwem i narodem, nigdy nie występował przeciwko państwu polskiemu. ZNP przestrzegał porządku i zasad Konstytucji PRL oraz uznawał przewodnią rolę PZPR.

Dopracował się wreszcie, jak żaden inny związek, właściwej struktury organizacyjnej. Dwa autonomiczne piony ZNP-Oświata i ZNP-Nauka, w ramach jednego Związku. Słuszny był powrót do okręgów i oddziałów. Mamy dobry statut, którego przestrzegaliśmy i będziemy przestrzegać.

Taki był nasz Związek i takim powinien pozostać. W tym miejscu podkreślić jednak muszę konieczność zapewnienia w przyszłości pełnej realizacji funkcji (wynikających zresztą ze statutu), do których w kolejności należy zaliczyć: funkcję obronną, partycypacyjną, wychowawczą i internacjonalistyczną. Pierwsza z tych funkcji, to obrona nauczycieli i pracowników oświaty przed wypaczeniami ze strony administracji, codzienna troska o właściwe warunki pracy i zaspokajanie potrzeb pracowniczych.

Realizacja funkcji partycypacyjnej polega na autentycznym oddziaływaniu ZNP na proces włączania się zespołów nauczycielskich do kierowania szkołami, placówkami i oświatą.

Wykonywanie funkcji wychowawczej to wywieranie skutecznego wpływu na kształtowanie socjalistycznych stosunków międzyludzkich w gronach pedagogicznych, likwidowanie wszelkich napięć tak szkodliwych dla procesu wychowawczego.

I wreszcie wcielanie funkcji internacjonalistycznej wynika z socjalistycznego kształtu ZNP, konieczności współdziałania z bratnimi związkami zawodowymi krajów socjalistycznych i łączności ze Światową Federacją Związków Zawodowych.

Realizując powyższe funkcje, ZNP będzie szkołą demokracji socjalistycznej. Może to nie jest realne, ale moim marzeniem jest, by nauczyciele i wszyscy pracownicy nauki i oświaty zorganizowani byli w jednym, silnym, liczącym się Związku.

ZYGMUNT WYSOCZAŃSKI
Legnica

Tym razem dyskusję na temat przyszłości ruchu zawodowego w środowisku pracowników oświaty zainicjowaliśmy w zbiorczych szkołach gminnych w Golinie i Pyzdrach w województwie konińskim oraz w Rakoniewicach w Pomorskiem. Wysłannik „Głosu Nauczycielskiego”, na miejscu odnotowujący wypowiedzi, znalazł już te placówki z poprzednich odwiedzin. Poprosiliśmy do rozmowy nie tylko kolegów z ZNP, ale i z nauczycielskiej „Solidarności”.

W GOLINIE

Jadwiga Ulbrych: — Kieruję świetlicą Zbiorczej Szkoły Gminnej, jestem członkiem ZSL, zaś do czasu zawieszenia „Solidarności” pełniłam z wyboru funkcję przewodniczącej Komisji Zakładowej tego związku. Obecnie uczestniczę w pracach komisji socjalnej.

Wiele przemyśleliśmy tu wszyscy w okresie ostatniego kwartału. Dzisiaj, tak jak ogół członków naszego związku w Golinie, uważam, iż powinien on powrócić na forum publiczne, jednak w zupełnie odnowionym kształcie, oparty na statutowych zasadach działań na rzecz środowiska, przede wszystkim w sprawach bytowych, bez ludzi, którzy prowadzili „Solidarności” na manowce i bez politykierskich zapędów.

Wiem, że przecież tu, „na dole” byli inni ludzie, głęboko przejęci swymi funkcjami socjalnymi, społecznymi, nieświadomi często wciągania ich przez liderów do politycznej gry o władzę. Czy ten kapitał właściwie pojmowane aktywności miałyby przepaść? Wierzę, że nie przepadnie, bo i na naszym terenie — we współdziałaniu z ZNP — bez tarć i konfliktów z kolegami z tego związku — niejedno uzyskaliśmy dla pracowników oświaty. I dzieliłiśmy też sprawiedliwie.

Ważnym wspólnym zadaniem obu związków, po ich oczekiwanym tutaj reaktywowaniu, byłoby poparcie administracji szkolnej w staraniach o polepszenie warunków nauki dzieci golińskich i pracy nauczycieli zarazem. Teraz w przeraźliwej ciasnocie tłoczy się w tutejszej zbiorczej szkole gminnej blisko siedmiuset uczniów (placówka była obliczona na około trzysta dzieci). Nie najlepiej jest dotychczas z mieszkaniami dla pedagogów golińskich, zwłaszcza młodych. Unormować trzeba — wspólnie z administracją — zawikłane problemy placowe personelu pomocniczego. Komisja socjalna nie rozstrzygnie przecież (bo przekracza to jej uprawnienia), czemu na przykład sprzątaczkom nie płaci się dotychczas za nadmetraż.

W związku z wejściem w życie reformy gospodarczej konieczne staje się też unormowanie współpracy z zakładami opiekuńczymi, które zresztą i dotychczas nie popisywały się ofiarnością na rzecz golińskiej oświaty. Istnieje w miasteczku „patronacka” filia Wielkopolskich Zakładów Obuwniczych, a uczniowie tutejsi (podobnie zresztą jak nauczyciele) cierpią na brak butów. Związki zawodowe roboty miałyby huk! Oba! A przecież wprowadzona w życie Karta Nauczyciela (wiem, że oczekiwane przepisy wykonawcze do niej mają się ukazać) także zakłada związkową współodpowiedzialność za oświatę.

Na dziś kolegów z ZNP i nas z „Solidarności” nauczycielskiej zjednoczyła praca w komisji socjalnej. I dlatego byłabym zdania, że nawet po wznowieniu działalności przez oba związki, komisja ta powinna pozostać i działać, jako forum współpracy, a kto wie, może i załatek jednoci organizacyjnej.

Albin Henryk Leska: — Także wypowiedziałbym się za utrzymaniem i w przyszłości, przynajmniej na okres przejściowy, bezpośrednio po „rozruchu” związków zawodowych, istniejącej obecnie komisji socjalnej. Ma ona przecież jasno określone kompetencje gospodarowania funduszem socjalnym z budżetu pracodawcy. Gdy związki uruchomią z kolei własne kasy, pomnoży to, moim zdaniem, możliwości finansowania wielu przedsięwzięć w interesie ogółu pracowników.

Również — jako członkowi „Solidarności” i zarazem pracownikowi administracji — odpowiadałoby mi utrzymanie związkowej swoistej „konkurencji” w działaniach dla dobra środowiska. Wspominam raczej ciepło, jak to przed grudniem ubiegłego roku współzawodniczyliśmy z prezesem Zarządu Oddziału ZNP w Golinie — kolegą Jerzym Kruckim w przedsięwzięciach socjalnych. Mnie na przykład udało się załatwić roznoszenie mleka do domów nauczycielskich — on postarał się o jabłko, które po półhurtowych cenach zamówiono jesienią, w konińskiej Spółdzielni Ogrodniczej i każdy pracownik oświaty — bez różnicy przynależności związkowej — mógł kupić tyle tych owoców, ile chciał. A co do wycieczek — też różnic nie wprowadzaliśmy, jechał kto chciał, obojętnie, który związek był organizatorem. Jasne, że taki model dwóch „firm”, zgodnych co do podstawowych zadań służby społecznej, a różniących się, może, metodami, zasługowałby, moim zdaniem, na kontynuację.

A czego kontynuować nie należy?... Po wiem jasno: wstąpiłem do „Solidarności”, bo dostrzegłem w tworzącym się ruchu szansę działania dla siebie. Rychło jednak okazało się, że — wybrany przewodniczącym Komisji Zakładowej — jako przestrzegający statutowych, związkowych zobowiązań wobec współkolegów przestałem

się podobać liderom z wyższych władz „Solidarności”. Ani myślałem podporządkowywać swej komisji poleceniom z regionu, dotyczącym ogłaszania wciąż „gotowości strajkowej”. Uważałem — i uważam nadal — że związek zawodowy ma służyć ludziom, nie zaś politycznej grze. Dlatego przed grudniem ubiegłego roku, musiałem zrezygnować z funkcji. Flag strajkowych na gmachu szkoły wieszac nie będę — zapowiedziałem. Wiem, że nie wszyscy z grupy członków „Solidarności” w golińskiej oświacie byli tego samego zdania.

Dziś jednak, jak wnioskuję z rozmów z nimi, inaczej oceniają motywacje ówczesnych strajków, bo dowiedzieli się o nieznanym im przedtem kulisach tych posunięć i chcieliby wraz ze mną, na przyszłość — wykluczyć w naszym związku takie metody.

Jan Graczyk: — Nie jestem pewien, czy wznowienie „Solidarności” automatycznie wiązałoby się ze zwycięstwem takich poglądów, jak te, które prezentuje kolega Henryk Leska. Smutne doświadczenie — z ubiegłego roku — wskazuje, że poklask w tym związku zdobywali inaczej myślący, sprzyjający ekstremie. Pozostałem w ZNP i nie żałuję tego.

Od początku, gdy w naszej placówce tworzyła się „Solidarności”, przestrzegałem przed możliwością rozdźwięków. Dobrze, że na większą skalę nasze środowisko do nich nie dopuściło, ale pamiętam agresywne zachowania niektórych członków nowo powstałego związku i fakt, że na pewno nie wszyscy z nich konkurencję z ZNP pojmowali jako zdrowe współzawodnictwo w przedsięwzięciach o charakterze socjalno-bytowym. Dowodem były choćby wywieszane w pokoju nauczycielskim „konkurencyjne” gazetki „Solidarności”, nie o akcjach socjalnych była tam mowa.

Sądzę, że wszystkie akcje socjalne jest w stanie podejmować z powodzeniem jeden istniejący w szkole związek zawodowy — ZNP. Zresztą i my w ostatnim czasie wiele przecież przemyśleliśmy. Zdaję sobie na przykład sprawę, że niektórych nauczycieli z Golinę pchnąć mogło do „Solidarności” choćby to, że miejscowe władze ZNP wybierane były niegdyś niezbyt demokratycznie, bo przy jawnych naciskach z zewnątrz. Jestem przekonany, że takie praktyki na przyszłość nie będą miały miejsca.



Fot. Archiwum

ZWIĄZEK — JAKI?

A koledzy z „Solidarności” mają do naszego Związku szeroko otwartą drogę. Przecież gdy z inicjatywy podstawowej organizacji partyjnej w szkole powstawała komisja socjalna, zaprosiliśmy do niej działaczy z drugiego związku nauczycielskiego. Zaprosiliśmy bez wahań i obaw. Podobnie przyjmujemy ich w ZNP. Im szybciej zaś wznowi on pracę, tym lepiej dla sprawy.

W PYZDRACH

Alina Staszak: — ZNP, który w Pyzdrach pozostał jedynym związkiem w szkole — cieszył się uznaniem między innymi dlatego, że skutecznie zabiegał o codzienne sprawy bytowe. Zastępując go — czasowo — komisja socjalna, której przewodniczę, nie może więc być „gorsza”. Wspomnę, że przy pomocy wojskowej terenowej grupy operacyjnej i GS sprowadziliśmy buty, tak dla dzieci jak i dorosłych, umożliwiliśmy też koleżankom zakup rajstop, a kolegom — skarpetek. Mydła, ręczniki — przewidziane przepisami dostarczyliśmy pracownikom z góry na cały rok.

Ośmioro członków komisji socjalnej reprezentuje — po jednej osobie — poszczególne rady pedagogiczne placówek oświatowych na naszym terenie. Mimo braku doświadczenia, z rozmachem wszyscy przystąpili do pracy: rozdzieliłiśmy na przykład zapomogi zdrowotne, przeanalizowaliśmy kwestię korzystania przez nauczycieli z rodziną z stołówki szkolnej, opiniujemy wnioski dyrekcji w sprawie nagród, przyznaliśmy jednej z nauczycielek pożyczkę na budowę domu, urządziliśmy imprezę na Dzień Kobiet (nasze Ewy tym razem zamiast kwiatów otrzymały paczki jabłek, z czego się bardzo ucieszyły), rozpatrujemy podania o wczas... Słowem — wznowiony związek nie zacznie od zera.

Zofia Werla: — Uczę matematyki, pracuję krótko w tej szkole. Z uznaniem przyglądam się działalności komisji, sądzę jednak, że nie jest ona w stanie zastępować w pełni związku. Związek zawodowy, zwłaszcza nauczycielski, ma przecież o wiele szerszy zakres działania. W gestii jego zainteresowań znajdują się problemy związane z polityką oświatową, kształtowaniem osobowości nauczycieli, adaptacją zawodową młodych pedagogów, przyszłością polskiej szkoły i szereg innych. Komisja

socjalna nie jest w stanie ich podjąć. I jeszcze jedno: tam, gdzie działacze ZNP zdobyli sobie autorytet, nie trzeba zamieniać zarządów. Zresztą przyjdzie przecież termin następnych wyborów, ludzie ocenią samą postawę działaczy.

Bogdan Biernarczyk: — Uczę we wsi Wromczykowskie Holendry. U nas nie tylko sklepowe, ale i klienci, gdy przychodzi po zakupy nauczyciel, przepuszczają go do łady poza kolejnością, choć nie ma takiego oficjalnego zarządzenia ze strony GS. Widzę tu wpływ komisji socjalnej. W działaniach, w kwestiach bytowych, nie różni się ona właściwie od ZNP, jej członkowie zyskali szybko autorytet i... powstaje problem: czy w momencie reaktywowania Związku, komisję mamy zlikwidować? Szkoda byłoby rezygnować z całej tej grupy aktywistów, którzy tak dobrze się już sprawdzili w codziennym działaniu.

Edmund Dobosiewicz: — Ze swoich doświadczeń starszego nauczyciela mogę przekazać opinie: skoro wszyscy jesteśmy zadowoleni z efektów tak krótkiej działalności komisji socjalnej, dowodzi to, że wyrosli nam w trudnej chwili nowi aktywiści. Wykorzystajmy to, by w momencie wznowienia prac Związku, maksymalnie uaktywnić jego terenowe ogniska.

W RAKONIEWICACH

Stanisław Guder: — Powołując z inicjatywy podstawowej organizacji partyjnej komisję socjalną przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Rakoniewicach, stworzono również członkom „Solidarności” nauczycielskiej szansę społecznej pracy w nowo ukończonym organie.

Na przykład koleżanka Krystyna Pietrzak, bo ona właśnie do czasu zawieszenia „Solidarności” działała w tym związku, odnalazła obecnie, a może to być wzorem dla innych, drogę, powiedziałabym, wspólnego działania z członkami ZNP. Upatrywałbym w tym przykładzie z naszej komisji w ogóle dobrych prognozy na przyszłość. Cała komisja, jeśli koledzy, jej członkowie, tak postanowią, może stać się pomostem do przywrócenia jednoci związkowej.

Bronisław Chałupka: — Podzielam to przekonanie i jako przewodniczący komisji socjalnej (a zarazem nauczyciel i opiekun spółdzielni uczniowskiej), widzę w jej pracach — także i na przyszłość, na przykład w roli statutowej związkowej komisji — dobry wzorzec do wykorzystania w Związku, który powinien odzyskać utraconą nie z winy członków ZNP jednoci organizacyjną. U nas na 140 pracowników oświaty w mieście i gminie do „Solidarności” zapisało się 19.

Jako komisja socjalna — mamy czasowo wypełniać lukę, jaka otworzyła się po zawieszeniu prac związków zawodowych. Zdajemy sobie sprawę z tej tymczasowości, ale nie oznacza to, że „siedzimy na walizkach”. Do chwili, gdy ogłoszony zostanie, miejmy nadzieję, że rychło, komunikat, iż ZNP odżył, komisja musi na pełnych obrotach spełniać większość funkcji związkowych.

Teraz najpilniejszy dla nas jest rozdział miejsc wczasowych, zastosowaliśmy tu metody inne, aniżeli dawniej w ZNP, wykorzystujemy bowiem również opinie koleżanki z „Solidarności”, a ponadto przecież zmieniła się sytuacja — i ceny — wczasów. Widzimy, że mało osób na nie pojedzie, skoro jedno miejsce kosztuje, sądząc z oferty z Zakładu Budżetowego poznańskiego Kuratorium Oświaty i Wychowania, aż 9 tysięcy złotych. Już widać, że wznowiona działalność Związku musi zostać ukie- runkowana między innymi na wnikliwą kontrolę tych opłat. Czy nie zawyżono tu stawek zbyt pochopnie? Tego komisja nie zbada, a Związek — mógłby.

Wiktor Janicki: — Gdy obejmowałem stanowisko gminnego dyrektora szkół, przeszedłszy tutaj z placówki filialnej w Jabłonie, obawiałem się rozbicia środowiska przez dwa związki zawodowe. I nadal mam podobne obawy na przyszłość, bo wiem wiadomo mi, że część kolegów z „Solidarności” pragnie reaktywowania swego związku, a są i tacy, którzy wysuwają projekty utworzenia czegoś nowego, jakby „trzeciej siły”, jako płaszczyzny zjednoczenia — w zupełnie nowym związku — tak ZNP, jak i „Solidarności” nauczycielskiej. Nie odpowiada mi, przyznam, te koncepcje, bo uważam, że ZNP w ciągu ponad 75 lat swego istnienia uczynił wystarczająco wiele (ostatnio choćby w sprawie Karty Nauczyciela), aby stać się godnym wyłącznego reprezentowania ogółu pracowników oświaty.

Notował: (JT)

KARTA PRAW INWALIDY NIE WESZŁA JESZCZE W ŻYCIE

JAK PODAĆ RĘKĘ

WITOLD SALAŃSKI

Jakże często dostrzegamy ich ledwie kątem oka lub przechodzimy obok obojętnie. A jest ich wielu, nawet bardzo wielu. Stanowią niemal czternaście procent ludności Polski. I dopiero w Międzynarodowym Roku Inwalidów zaczęliśmy szerzej myśleć o społecznym i moralnym problemie człowieka niepełnosprawnego. Karta Praw Inwalidy jednak do dziś nie weszła w życie.

A przecież na urazy i kalectwo potencjalnie narażeni jesteśmy wszyscy od dziecka. Są to twarde realia życia, ceną, jaką płacimy za rozwój przemysłowej cywilizacji, za skażenie naturalnego środowiska człowieka. Czy jesteśmy do tego moralnie przygotowani, aby nie tylko współczuć, okazać pomoc, ale także zaakceptować w naszym otoczeniu, wśród nas, nie obok nas, człowieka niepełnosprawnego? Czy jest do tego przygotowana szkoła: i w sensie odpowiednich rozwiązań konstrukcyjnych w budynkach, i w sensie środowiska wychowawczego? Niestety, to pierwsze niemal nie wchodzi w rachubę w planach budowy obiektów szkolnych. Mam na myśli chociażby tak drobny element jak podjazdy dla wózków inwalidzkich. To drugie zależy od osobowości nauczyciela, jego kultury osobistej, taktu, a także odpowiedniego przygotowania zawodowego.

Toteż sytuacja dziecka kalekiego w normalnej klasie jest bardzo różna, jak różne są klimaty wychowawcze — stworzone przez nauczycieli i cały zespół klasowy, a także szkolny. Oto kilka obrazków, jakie zaobserwowałem podczas wędrówek po warszawskich i podstołecznych szkołach; jeden pochodzi z Piły. Ze zrozumiałych względów nie podaję nazwisk oraz adresów placówek.

TADEK, DOROTKA I INNI

Tadek ma jedenaście lat. Choroba heinemedina na stałe przytwardziła go do wózka inwalidzkiego. Na domiar złego porzucili go rodzice, wyjeżdżając za granicę. Opiekuje się nim babcia. Dalsza rodzina ledwie go toleruje. Tadek uczęszcza do normalnej szkoły podstawowej w Warszawie. Kłopoty zaczynają się na progu szkoły. Jak dostać się do środka? Chłopcy z VII i VIII klas ustalili dyżury. Wnoszą go na krzesło na pierwsze bądź drugie piętro. Całkowicie sfeminizowany personel pedagogiczny z przerażeniem obserwuje balansowanie „lektyki” na stromych schodach.

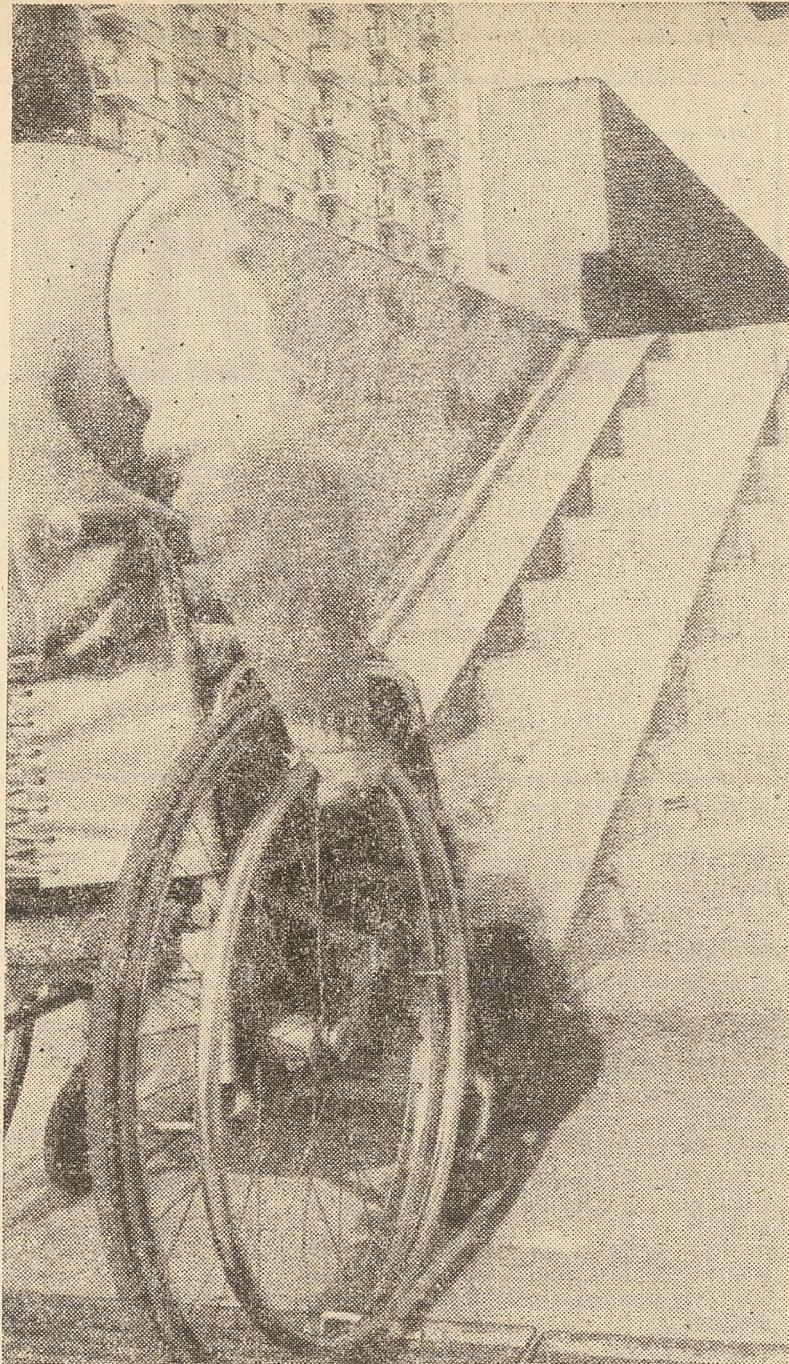
Chłopiec uczęszcza do szkoły bardzo chętnie. Ma silnie rozwinięty instynkt społeczny. Szuka towarzystwa. Bierze aktywny udział we wszystkich klasowych zabawach, przedstawieniach, herbatkach. Dzieci odwiedzają go w domu. Założyły mu nawet akwarium. Razem czytają książki.

A jednak obraz ten — wydawałoby się jasny i optymistyczny — został ostatnio zmącony. Sytuacja zaczęła się rozwijać wbrew oczekiwaniom. Otóż nauczyciele — bezwiednie, niemal podświadomie — obniżyli próg wymagań wobec Tadeka. Zapewne pod wpływem jego kłopotów rodzinnych (wyjazd rodziców zbulwersował całe środowisko). W ten sposób okazali mu współczucie, a może i litość. — Czy mogliśmy postąpić inaczej, gdy na krzywdę nakłada się krzywdą? — pytają sami siebie. Otóż to. Czy mogli postąpić inaczej? Trudno tu jednoznacznie rozstrzygnąć, zwłaszcza w kwestii motywacji. Chodzi jednak o coś więcej: aby chłopiec nie czuł się upokorzony, aby ten sposób wyróżniania nie spowodował kompleksów, aby dzieci, naśladując swoich wychowawców, nie przedstawili się w swoich odruchach wyłącznie na litość, zwłaszcza że mogą ją demonstrować spontanicznie — jak dzieci.

Ze względu na trudności techniczne (schody) Tadek zostanie objęty nauczaniem indywidualnym. Ale problem wychowawczy pozostanie. Nauczyciele i koledzy z pewnością nie będą się uchylali od udzielania chłopcu pomocy. Oby tylko udało im się zachować proporcje w gradacji uczuć i ciągłość kontaktów.

Dorotka również uczęszcza do czwartej klasy szkoły podstawowej. Pochodzi ze wsi. Kilka lat temu w czasie żniw kosiarka obciążyła jej obie nogi. Na szczęście poniżej stawów kolanowych. Dziewczynka ma teraz protezy. Na wsi przeżyła powypadkową gehenną, gehennę ciekawości wielu mieszkańców wsi. Był to koszmar dla dziecka i rodziców, którzy podjęli jedynie słuszną decyzję przeniesienia się do dużego miasta. Dziecko szybko wróciło do równowagi psychicznej. Decydującą rolę odegrała tutaj postawa nauczycieli, wychowawców oraz koleżanek i kolegów. Kalectwo nie wzbudzało niezdrowego zainteresowania. Zastąpiła je serdeczna przyjaźń. Dorotka odzyskała swoją podmiotowość.

Jedenastoletnia Krysia cierpi na epilepsję. Jest opóźniona w nauce o jeden rok, chodzi więc do trzeciej klasy normalnej szkoły podstawowej na dalekich peryferiach Warszawy. Rodzice, ludzie prości, ukrywali chorobę dziecka przed szkołą. A taki na początku wywoływały szok zarówno u nauczycieli, jak i u dzieci. Cały personel pedagogiczny został przeszkolony w zakresie udzielania pomocy epileptykom.



Fot. J. Olbrych

Krysia od dwóch lat nie ma ataków. Zachowuje się jednak trochę dziwnie. Uśmiecha się dobrotliwie, wszystko przyjmuje za dobrą monetę. Krysia jest oszołomiona lekami. Będzie je przyjmowała jeszcze przez parę miesięcy. Ale iloraz inteligencji pozostaje w normie. Nie ma więc potrzeby izolowania jej od dzieci zdrowych. Wręcz odwrotnie. Powinna wśród nich pozostać, aby mogła jak najszybciej odzyskać zdrowie.

Szkoła bardzo troskliwie opiekuje się chorą uczennicą. Dyrektor zastępuje jej rodziców, przynajmniej w sugerowaniu decyzji co do dalszych jej losów. Gdyby Krysie odesłano do jakiegoś zakładu, to z pewnością narażono by dziewczynkę na dodatkowe stresy związane z gwałtownym zerwaniem więzi uczuciowej ze środowiskiem. Szkoła zatem nie poszła drogą wygodnictwa, nie uciekła przed wychowawczym obowiązkiem. Lekarze rokują, że stan zdrowia dziewczynki po zakończeniu kuracji farmakologicznej wróci do normy. Zarówno nauczyciele, jak i uczniowie wierzą, że atmosfera życzliwości, dyskretnej opieki, a przede wszystkim zrozumienie — pomogą Krysii. W tym przypadku akcentują przede wszystkim zrozumienie, gdyż jest to choroba coraz częściej atakująca narażone na wszelkiego rodzaju wstrząsy psychiczne niedojrzałe jeszcze a nadmierne wrażliwe systemy nerwowe dzieci i młodzieży.

Paweł, lat siedemnaście, trzecia klasa liceum ogólnokształcącego, objęty jest indywidualnym tokiem nauczania w domu. Los ciężko go doświadczył — rozszczępienie kręgosłupa, paraliż dolnej połowy ciała. Początkowo odwiedzała go cała klasa. Chłopiec jednak po pewnym czasie oświadczył, że mężczyzno to towarzysztwo. W końcu wyraził życzenie, aby wizyte składała mu najwyżej jedna osoba. Nie daje się namówić na przyjazd do szkoły na chociażby jedną lekcję w tygodniu. Kontakty z klasą bardzo się rozluźniły. Zresztą koledzy chłopca zwierzili się wychowawcy, że nie mają o czym z Pawłem rozmawiać, bo nie interesuje się on na przykład literaturą.

Tymczasem okazuje się, że mizantropia Pawła jest formą jego psychicznej samoobrony przed ośmieszeniem siebie, gdyż chłopiec ma duże trudności z kontrolowaniem czynności fizjologicznych. Hannu and? Został pozostawiony sam sobie. Wychowawca nie zadał sobie odrobiny trudu, aby zwrócić uczniom uwagę na potrzebie zachowania wyjątkowej dyskrecji, samodyscypliny w reakcjach, które nie trzymają na wodzy, mogą powodować duchowe tortury chorego. Czasem wystarczy przecież jedna szczerza rozmowa z klasą, umiejętnie pokierowanie młodzieńczą wrażliwością nastolatków. Dlaczego nikt nie

próbował klasie wyjaśnić psychologicznych przesłanek braku zainteresowania Pawła lekturą, w ogóle światem ludzi zdrowych?

Może literatura jest dla niego czymś irytującym nieprawdziwym, bo nie odpowiada na pytania, które go dręczą, nie wyjaśnia sensu życia człowieka przykutego na zawsze do wózka inwalidzkiego. Ale jest tyle innych tematów, które można podjąć, a i w literaturze też znalazłby się pozycje podejmujące owe skomplikowane problemy. Nie można jednak skazywać chorego na martwy żywot, łatwo rezygnując z prób nawiązania kontaktu na etapie małych progów.

Wychowawca klasy trzeciej liceum ogólnokształcącego w dużym mieście był zaskoczony pytaniem o inwalidę w swojej klasie. Staszek, lat siedemnaście, nie dowład nogi i ręki, tak się zintegrował ze społecznością klasową, iż w tej chwili, po trzech latach wspólnego przebywania, nikt już nie myśli o jego fizycznej niepełnosprawności. Całkowita akceptacja Staszka w klasie to w dużej mierze zasługa energicznego wychowawcy przyjmującego zdecydowaną postawę we wszystkich chwilach najtrudniejszych, a szczególnie na początku znajomości w pierwszej klasie.

Właśnie wtedy wołał nie ryzykować niepożądanego biegu wypadków i uprzedził uczniów o przybyciu Staszka. W ten sposób zneutralizował zaskoczenie oraz osłabił ewentualne niezdrowe zaciekawienie — tak bardzo nie na miejscu w odniesieniu do inwalidy. Zawarł umowę z klasą, że wszyscy będą go traktowali jak jednego z wielu i nie dadzą mu odczuć różnicy. W tym postanowieniu są konsekwentni do dzisiaj. Wszelkie wybryki Staszka spotykają się z ostrą reprimendą ze strony wychowawcy, i to w obecności klasy.

Chłopiec doskonale wie, że ułomność fizyczna nie usprawiedliwiałaby ewentualnych zaniedbań w nauce, ma świadomość, że jest jednym z wielu uczniów w klasie i może właśnie dlatego nie ma żadnych problemów z nauką. Udziela się w pracy społecznej, nie lubi samotności, interesuje się otoczeniem, jak zresztą każdy ekstrawertyk. I jeszcze jedno. Wychowawca w bardzo mądry sposób wzmaga poczucie własnej wartości u chłopca przez zachęcanie go do demonstrowania także sprawności fizycznej. Rezultaty przeszły oczekiwania wszystkich. Uczeń na przykład zdał egzamin na samochodowe prawo jazdy z wynikiem bardzo dobrym. Ostatnio wychowawca wciąga Staszka w uprawianie strzelectwa. Jeśli chłopiec miał kiedykolwiek kompleksy, to na pewno szkoła go z nich wyleczyła.

NA PRZEKÓR NIESZCZĘŚCIU

Zdawałoby się — przykłady różne, ale jedno je łączy — los dziecka kalekiego i nasz do niego stosunek, obecność wychowawcy budującego delikatną materię uczuć łączących dzieci zdrowe i dotknięte nieszczęściem. Już sam fakt przebywania inwalidy w klasie powinien być wykorzystany jako element oddziaływania wychowawczego na całą grupę. Odpowiednio kierowane zainteresowanie ku rozumieniu sytuacji chorego, uwrażliwienie na jego szczególne potrzeby pozwala wytworzyć klimat życzliwości i akceptacji nie zawsze mieszczących się w przyjętej normie zachowań.

Przedstawione przykłady wskazują na to, że po dłuższym i wychowawczo ukierunkowanym obcowaniu z chorym kolegą pęka mur jakichkolwiek uprzedzeń wniesionych ze środowiska domowego. W jednej ze szkół widziałem dziewczynkę z protezą lewej ręki, do której w szatni natychmiast podbiegły koleżanki i pomagały jej w zawiązywaniu sznurowadeł. Był to naturalny, spontaniczny odruch. Takie przykłady cieszą, świadczą bowiem o dobrej pracy wychowawczej szkoły. Świadczą o tym, że nauczyciele nie przechodzą obok nieszczęścia obojętnie, lecz starają się je spożytkować dla kształtowania postawy humanitarnej i zarazem głęboko humanistycznej.

Chodzi bowiem o to, aby inwalida nie był tylko obiektem naszej litości, spychanym na margines społeczного życia, ale człowiekiem uczestniczącym w życiu na równych prawach z ludźmi zdrowymi. Możemy to sprawić przez uszanowanie jego podmiotowości, przez uczynienie go człowiekiem niezależnym, pozbawionym dodatkowych kompleksów, których źródła tkwią w kontaktach interpersonalnych, w braku wyobraźni przy planowaniu budynków szkolnych. Tomek codziennie czeka na wniesienie na pierwsze bądź drugie piętro. A gdyby tak mógł tylko nacisnąć guzik windy przewidzianej wyłącznie dla takich wyjątkowych sytuacji?

Jerzy Gawęda, członek Polskiego Komitetu Międzynarodowego Roku Inwalidów, działacz spółdzielczości inwalidów, sam przykuty do wózka inwalidzkiego, zapytany o to, co my, ludzie zdrowi, możemy uczynić dla osób niepełnosprawnych powiedział: — Nie pomagajcie nam, tylko stwórzcie warunki, abyśmy sami sobie mogli pomóc.

PAMIĘCI WITOLDA DOROSZEWSKIEGO

„SŁOWA SĄ JAK MOSTY...”

Niemal do ostatka schorowanym już i jakby milknącym głosem prowadził w radiu swój poradnik językowy, pracę uczonego trwającą przez cztery dziesięciolecia.

Zdaje mi się, że teraz właśnie mówi. „Obywatel X pisze, że gdy słyszy formę dzieciak zastosowaną do swojego dziecka, to odczuwa ją jako trochę nieprzyjazną. Daj dzieciakowi jeść, kojarzy mu się z takim wyrażeniem, jak daj cielakowi siana. Piszący zamiast formy dzieciak woli dziecko...”. Po dłuższych uzasadnieniach Profesor przyznaje rację Obywatelowi X.

Mnie takiej racji przyznać nie chciał i kiedyś skarcił w eterze swego dawnego studenta za jakiś niefortunny pomysł językowy. Gdy się z kimś nie zgadzał, słodki nie był, choć gniewem się nie unosił, wychodząc z założenia, iż „ogniem i mieczem — szczególnie zresztą — językoznawca nie dysponuje”.

Na stałe związany z Warszawą (odznaczony nawet Krzyżem Walecznych za udział w jej obronie we Wrześniu), miał Profesor Witold Doroszewski swoje szczególne miejsce w powojennych dziejach Warmii i Mazur. Przeprowadzał tu w latach pięćdziesiątych kompleksowe badania gwar, zaś od 1966 do 1971 roku często od-

wiedzał Olsztyn jako prezes Towarzystwa Kultury Języka, tu właśnie założonego i stąd wtedy oddziałującego na kraj.

Ale ja znałem Profesora znacznie wcześniej, bo przed wojną jako jego student na Uniwersytecie Warszawskim. Gdy zaczynałem studia, Witold Doroszewski wrócił był właśnie z USA. Zakładał tam w Madison katedrę języka polskiego i przez rok akademicki 1936/37 prowadził wykłady w kręgach polonijnych.

A więc już od października 1937 roku jako zupełni nowicjusz z „sekcji” literatury, słuchaliśmy wykładów Doroszewskiego z historii języka i byliśmy zaskoczeni, że wszystko rozumiemy i że to po prostu ciekawe. Interesowała nas też sama postać Profesora, który nie miał jeszcze wtedy czterdziestki. Był wysoki, masywnie zbudowany, lecz nie tęgi, do tego wasaty. A prawdziwe wasy należały wtedy do rzadkości w kręgach inteligencji. Siła i sprawność fizyczna uczonego nie miały przy tym w sobie żadnej ostentacji. Nawet barytonowego głosu nigdy Profesor nie nadużywał, najwyżej go rozjaśniał w chwilach powściągliwych żartów. Jego osoba tchnęła spokojną, pogodną powagą i wszystko było w niej podporządkowane dyscyplinie intelektu.

W czasie wykładów podziwialiśmy przede wszystkim różne przytaczane z języków obcych przykłady. Wiedzieliśmy, że jest poliglota, ale jakże się Go słuchało z bliska! Ta Jego francuszczyzna na przykład albo ta intonacja zdań rosyjskich, czy ta swoboda w posługiwaniu się językami południowych Słowian!

Imponowała nam także towarzysząca Profesorowi sława wędrowca i żeglarza. Kto prócz Niego miał wtedy na uniwersytecie tytuł kapitana żeglugi wielkiej? Ponadto na naszych oczach raz na tydzień dojeżdżał Doroszewski motocyklem do Łodzi na wykłady w Wolnej Wszechnicy.

Wszystko to budziło sympatię i podziw, ale egzamin z gramatyki opisowej u Profesora nie uchodził za najłatwiejszy. Jak się sam mogłem przekonać, uczony pytał cierpliwie, dokonując przeglądu całej naszej świeżutkiej wiedzy o języku, a gdy rozmowa zbliżała się do końca, wyciągał spod stołu jedną z tablic z przekrojem narządów mowy w układzie odpowiadającym jakiejś głosce. Należało na to spojrzeć i wydać „odnośny” dźwięk. Im prędzej, tym lepiej. Ja zaryzykowałem syknięcie i trąfłem. Zyczliwie pożegnany, wybiegłem z czwórka w indeksie. Została mi już tylko gramatyka historyczna, ale tę zdawałem dopiero po wojnie.

Nasze językoznawcze seminarium dla weteranów, prowadzone przez Witolda Doroszewskiego w roku 1946, zapowiadało się początkowo trochę dziwnie. Zasiadaliśmy — gdzieś na podstryszu — chłopcy z demobilu i panny z wojny, zainteresowani wszystkim, tylko nie przeszłością naszej mowy. Jednak Profesor nie umiał prowadzić zajęć nieciekawych i gdy przystąpiliśmy do czytania i interpretacji „Kazań świętokrzyskich”, byliśmy poruszeni sugestywną retoryką, rytmem, a nade wszystko słownictwem tej prozy.

„Miluśka moja” powtarzaliśmy z upodobaniem te i inne „słowa wielmi znamienita”, którymi Syn Boży „tę to świętą dziewicę Katarzynę do sławy królestwa niebieskiego powabia i ponęca”.

Profesor był co prawda zdania, że najpierw trzeba zrozumieć formy językowe, a potem dopiero mówić, że to ładne, ale czy nie za wiele od nas oczekiwał?

Na jedno z zebrań seminaryjnych przygotowałem referat. Tematu nie pamiętam, wiem tylko, że sięgał aż... teorii języka i że nagle poczułem się w tej materii bardzo swobodnie. Pozwoliłem sobie nawet na pewne uogólnienia, mówiąc o duchu różnych języków, które w dodatku znałem raczej ze słyszenia. I wtedy Profesor — uosobienie umiaru i spokoju — zaczął mnie rugać. Musiałem widać nieźle nabreźć. Poza tym incydentem cieszyłem się

zyczliwością Doroszewskiego i egzamin „z historycznej” przebiegał zupełnie dobrze. Zresztą doktor Sieczkowski orzekł przy tej okazji: „Pan tu powinien wszystko zaliczać honoris causa. Za samą wysługę lat”.

Około roku 1950 spotkałem Profesora w okolicach Szczytna, gdzie kierował pracami studenckich obozów gwaroznawczych. Wędrował na małym motocyklu, na SHL. Świetnie wyglądał. Rosły, roześmiany, z siwą bujną czupryną, odziany w bluzę kha-ki. Bez wysiłku nosił na ramionach ogromny plecak. Ledwie się też mieścił na niewielkiej maszynie. Jeździł na niej sprawnie, zwinnie, jak prawdziwy sportowiec.

Zabawił u mnie w Szczytnie „złoty” dwa. Do dziś nie umiem zapomnieć uroku tego niecodziennego gościa. Zachowywał się, jak ktoś osobście bliski, ktoś z rodziny. Miał przy tym niebawale poczucie humoru i talent rozmówcy, kpiarza, narratora.

Gdy odjeżdżał, chciałem go odprowadzić i wyciągnąłem z szopy swój motorek, który był tej samej wielkości i mocy, co wehikuł profesora, tylko nosił inną nazwę. Doroszewski przyglądał się „maszynie” z uwagą, po czym spytał: „Ten pański — jest podobny do mojego. I co? Też ma 125 koni mechanicznych?”

Jak się już na czym nie znał, to do końca! Ostatecznie uwił się motocyklem nie tylko po różnych zakątkach województwa olsztyńskiego, ale i po kraju. Jeździł przy tym po mistrzowsku. Nigdy jednak nie regulował nawet drobnego detalu w swoim pojeździe. Gdy świeca się zalała, włókł motor do kowala w najbliższej wsi.

Obejrawszy nasze „stalowe rumaki” (kucyki raczej), ruszyliśmy w bardzo słoneczny dzień lasem przez Dzierżki ku Jedwabnu. Nad nami rozciągało się rozległe, wysokie niebo. Do tej naszej jazdy w stronę biwaku młodych językoznawców można było odnieść słowa Profesora, w zupełnie innym czasie wypowiedziane i wydrukowane:

„Człowiek jest pyłkiem, ale język jego to kopuła ogarniająca wieki (...) Tylko myśl dojrzała i jasna daje się wypowiedzieć w słowach prostych. Słowa są jak mosty przerzucone nad wiekami, z których oglądać można treść upłynionych wydarzeń”.

Profesor nie lubił patosu. Unikał metafor. Pisanie o nim, że ma umysł kartezjański — trzeźwo i ścisły. Tym trudniej zapamiętać owe „mosty przerzucone nad wiekami”. Kto tak kiedy nazwał nasze słowa i ich rodowód? A jak to szczególnie brzmi na Warmii i na Mazurach.

JERZY KORKOZOWICZ
Ostróda

SAMORZĄDNOŚĆ

Koncepcja szkoły samorządnej doc. dra Antoniego Smolańskiego, zaproponowana w dyskusji, warta jest uwagi z wielu powodów, także i ze względu na jej kontrowersyjność. Ja osobiście zgodzić się mogę tylko z niektórymi poglądami dyskutujących.

Pozostając z całym szacunkiem dla autora koncepcji, nie wierzę, iż jest ona najbardziej godną preferowania, odkrywczą, szansą naprawy szkoły. Może to być po prostu impuls do działań innowacyjnych w szkole. Doprawdy nie mogę się w tym dopatrzeć tych niepowtarzalnych, świeżych całkiem momentów pedagogicznych. Chyba, że niepotrzebnie niegdyś pewne rzeczy czytałem. Szacowni dyskutanci jakby udają, że zapomnieli dotychczas zdobytą wiedzę o wychowaniu człowieka.

Bo czyżby dotychczas nie domagano się realizacji takich wartości, jak sprawiedliwość społeczna, dobro, piękno, identyfikowanie się z socjalizmem? Oczywiście, możliwe, iż przez samorządność szkołę lepiej się te wartości młodzieży przybliży, ale też wiadomo, że owe wartości da się osiągnąć w każdej szkole, gdzie pracuje się uczciwie i twórczo, gdzie przezwajają nauczyciele o szerokiej horyzontach intelektualnych, gdzie dyrekcja pracuje nie tyle samorządnie, ile nowoczesnie, zgodnie z podstawowymi zasadami organizowania ludzkiej działalności.

Choć wielu czytelników się obruszy, powiem jednak, że najbardziej bliski modelu dobrej organizacji działań jest wojskowy styl dowodzenia. Nie wszystko tu się sprowadza przecież do przysłowiowego kapralskiego drylu. Ostatnie przedsięwzięcia terenowych grup operacyjnych LWP unaocznily nam, ile problemów można rozwiązać szybko i skutecznie, jeśli się do nich przystępuje według prostych zasad dobrej roboty, bez nadmiaru filozofowania,

które najczęściej prowadzi do uzasadniania bałaganu i panoszącej się niemocy.

Pamiętam niejedną rozprawę teoretyczną dotyczącą sposobów wyzwalania inicjatywy nauczycieli, dyrektorów, uczniów i rodziców. Jest w tej kwestii w literaturze wiele mądrych opinii, ale sek w tym, iż zbyt rzadko wprowadzało się je do praktyki. Uczciwej i kompetentnej roboty nauczycielskiej, w wymiarze możliwie masowym, nie zastąpią najciekawsze nawet koncepcje. A zawsze szkodliwe było dla edukacji „modlenie się” do aktualnych nowin pedagogicznych.

Nie wyważajmy dawno otwartych drzwi! Ileż to już dywagacji poświęciliśmy temu, jak uniknąć sytuacji, w których szkoły nie lubi uczeń, rodzic, nauczyciel, a nawet władza oświatowa! Wiemy od dawna, dlaczego takich sytuacji nie brakuje. Niestety, winę za niezadowolający stan rzeczy ponoszą zawsze konkretni wykonawcy, konkretni organizatorzy przedsięwzięć edukacyjnych.

Jestem przeciwnikiem osłabienia roli administracji oświatowej, aczkolwiek sam z nią miałem wiele kłopotów. Rzecz w tym, by w administracji byli ludzie samodzielni, z polotem. Administracja musi na szkołę patrzeć w szerszym kontekście społecznym. Nie sądzę, by zawsze zachowywała się bezdusznie. Ja nieraz podpadałem szefom, ale w końcu mimo to niektórzy przyjeżdżali, żeby po prostu porozmawiać przy kawie.

Twierdę, że kto przez ostatnie lata bardzo chciał dobrze, oryginalnie traktować własne obowiązki, nikt mu w tym stanowczo i kategorycznie nie mógł przeszkodzić. A tak już się dzieje, że w każdej dziedzinie życia silna, twórcza osobowość musi pokonywać opór nawarstwionych przyzwyczajeń.

NIE WYWAŻAĆ OTWARTYCH DRZWI

Szkola nie może odpowiadać tylko przed bliżej niesprecyzowanym społeczeństwem, środowiskiem, szkoła musi odpowiadać też przed władzami. Któż da radę ukarać czy wyeliminować kiepskiego nauczyciela, dyrektora? Środowisko? Rodzice, którzy boją się i wytrzymują bardzo dużo? Trzeba to zrobić służbowo. Mało która rada pedagogiczna z czymś takim sobie poradzi.

To nie nowość, iż szkoła ma służyć uczniowi. Wszyscy mądrzy pedagodzy służą dzieciom i służyli przez możliwie sumienną i skuteczną pracę wychowawczą, dydaktyczną. Albo otwarcie szkoły dla wszystkich. Znamy to przecież na przykład z wielkiej kampanii szkół otwartych. Każda dobra szkoła tak organizuje swoje cele, aby być w kontakcie z pulsującą wokół rzeczywistością. Przejawem takiego stylu działania placówek są na przykład wycieczki, wywiady, zapraszanie na zajęcia, lekcje z ludźmi z zewnątrz itp. Zatem dotychczas szkoła również stawiała sobie za cel służbę uczniowi, otwartość, wyzwalanie inicjatyw, współuczestnictwo wszystkich wychowawców.

Tylko, że nie bardzo te zadania udaje się realizować. Powodzenia w tej mierze nie gwarantuje również automatycznie szkoła samorządna. Po prostu dlatego, iż nowych rzeczy wnosi ona niewiele. Nie sądzę, by zaraz w tej kwestii wypowiadać się musiało specjalnie ministerstwo. Ministerstwu doradzałbym ostrożność, mamy trochę smutnego doświadczenia.

Koncepcja ta jednak godna jest uwagi i z tego względu, że stanowi próbę zintensyfikowania naszych wysiłków pedagogicznych. Myślę, że i szkoła samorządna, i jakkolwiek inna nie spełni społecznych nadziei, jeśli każdy nauczyciel nie zechce na co dzień uruchamiać swoich indywidualnych możliwości fachowych, intelektualnych, jeśli coraz częściej wychowawcom

nie będzie towarzyszyć stała skłonność do doskonalenia własnego warsztatu pracy.

Konieczne jest również szersze praktykowanie na terenie placówek oświatowo-wychowawczych zasad skutecznej organizacji pracy. Moda na tzw. kierowanie samorządne, niestety, nie sprzyja sprawnemu „dowodzeniu” szkołami. Nie gwarantuje też pełnego rozwoju najlepszym indywidualnościom nauczycielskim. Tym, którzy się teraz łapią za głowę, przypominam, że dowodzenie ma bardzo wiele wspólnego ze skutecznym organizowaniem ludzkich działań. Na samorządność też jest tu miejsce.

Sprawa więc nie tyle w nowinkach pedagogicznych, ile w porządnym realizowaniu w codziennej pracy tego, co już wymyślono i opublikowano dotychczas. Kapitał w tych źródłach i doświadczeniach jest tak ogromny i tak cenny, że trudno to wyrazić. Nie udawajmy, że mamy taką krótką pamięć, że nie studiowaliśmy, nie bójmy się przyznać, że niejednokrotnie szukamy skwapliwie rozgrzeszenia, bo nie chcemy na samych sobie spojrzeć obiektywnie.

Więcej szans widzę w przekształcaniu mentalności nauczycieli niż w przekształcaniu samych systemów edukacyjnych, choć i to bywa konieczne. Albo inaczej: bardziej cenię kult bogatej osobowości nauczyciela niż kult kolejnej „pompy” oświatowej. Obyśmy znów nie utoneli w edukacyjnym filozofowaniu.

STANISŁAW ŚWINIARSKI
Brody

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

NAUCZYCIELI PORTRET WŁASNY

Naszkicowany w artykule Henryki Witalewskiej („Głos Nauczycielski” nr 2/82) portret współczesnego nauczyciela, jak też inne, wcześniejsze na ten temat wypowiedzi ukazujące ciemne plamy i niedostatki naszego zawodu, nie rozmiągają się, niestety, moim zdaniem, z rzeczywistością, która jest jeszcze o wiele bogatsza w różnego rodzaju niepokojące przykłady. Choć, oczywiście, nie można patrzeć na tę rzeczywistość jednostronnie i nie można nie zauważać wielu osiągnięć i pozytywnych stron w pracy nauczycieli, to jednak nie miałyby sensu i byłoby szkodliwe dla nas samych, dla naszych dzieci, dla naszej kultury narodowej — ukrywanie tych ciemnych stron i obrona za wszelką cenę naszego, nawet sztucznego, autorytetu. Byłoby to niemoralne i nie licowałoby ze statusem, jaki uzyskujemy obecnie dzięki nowej Karcie Nauczyciela.

Ale obrazując nasze braki i nasze ubóstwo intelektualne czy moralne i małą skuteczność naszej pracy, należałoby zastanowić się nad przyczynami takiego stanu rzeczy. Czas, jaki przeżywamy, czas różnego rodzaju obrachunków, czas odnowy i odrodzenia narodowego sprzyja temu i nie może ominąć szkoły, oświaty i nauczyciela.

Nie będę tu powtarzał powszechnie już znanych faktów dotyczących pozycji materialnej nauczyciela, a co za tym idzie, od wielu już lat, negatywnej selekcji do tego zawodu. Przecież bardzo wielu nauczycieli przyszło do tego zawodu z powołania i świadomego wyboru. Na naszą pozycję w społeczeństwie i w oczach ucznia, na skuteczność naszego działania, na nasze samopoczucie i stan zdrowotny, na nasz stan intelektualny i moralny wpłynęło przecież wiele czynników pozamaterialnych, które nas deformowały.

Było to przede wszystkim odgórne, forma istyčno-biurokratyczne kierowanie oświatą, nie liczące się często nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale i z godnością i sumieniem nauczyciela i dyrektora szkoły, jak też z możliwościami dziecka. Przykładami mógłby tu sypać każdy nauczyciel, czy dyrektor szkoły, przykłady można znaleźć w kronikach szkolnych, czy innej dokumentacji. Te niezliczone akcje, uroczystości, rocznice, dni, tygodnie, i miesiące, olimpiady i konkursy, organizacje, koła i kółka. Można, a nawet trzeba było, prowadzić te akcje w pośpiechu, powierzchownie, ale trzeba je było zaliczyć. Im więcej, tym lepiej. Kto miał chęć i zdrowie ciągle tłumaczyć przyczyny ich nieodbycia czy niecelowość?

Tak bywało z różnymi systemami wychowawczymi, administracyjnie narzucanymi szkołom, tak bywało z programami nauczania, czy procentami promowanych itd. Nauczyciel, czy dyrektor szkoły, coraz mniej czasu i uwagi mógł poświęcić pracy twórczej, świadomemu kształtowaniu osobowości dziecka, jak też doskonaleniu własnej osobowości. Stawał się coraz bardziej wykonawcą poleceń i zarządzeń. Rzadko miał odwagę i możliwość optymalnej selekcji i redukcji narzucanych zadań, jak też odwagę sprzeciwu i bicia sobą. Jeśli nie podołał — mógł co najwyżej zrzec się i odejść. Wielu zrobiło ten krok, niestety, wielu dobrych nauczycieli.

Ileż czasu, zdrowia i energii wrażliwych nauczycieli zmarnowano w ten sposób, albo wykorzystano niecelowo! A ile szkód przyniosło ciągle, nieprzemysłane reformowanie i reorganizowanie szkolnictwa, czasem rozbijanie i niszczenie ukształtowanych i pozytywnych jego struktur — napisano i powiedziano już na ten temat wiele.

Dodajmy do tego nadmierną w ubiegłych latach ilość wizytacji i kontroli, dodajmy panujący od lat bałagan podręcznikowy, nadmierną ilość konferencji i konsultacji

połączonych z uciążliwymi dojazdami, ustawicznymi studiami, kursami i związanymi z tym nadmierne często obciążenie nauczycieli godzinami ponadwymiarowymi oraz zastępstwami — nie zawsze zgodnie ze specjalnością. Dodajmy wreszcie codzienną walkę o zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych własnych i rodziny. Szczególnie nauczyciel wiejski, czy małopolski, który jest przecież członkiem społeczności wiejskiej, jest wraz z tą społecznością upośledzony pod względem dostępu do kultury, opieki lekarskiej, życia towarzyskiego.

Na szczęście wydaje się, że okres występowania opisanych zjawisk mamy już poza sobą. Wydaje się, że możemy już wyprostować się nieco, że dano nam prawo ujęcia spraw szkoły, oświaty, spraw dziecka w większym stopniu w nasze nauczycielskie ręce. Że nastąpił czas sprzyjający temu, by w większym stopniu — spoza dyrektyw, spoza nie zawsze doskonałego programu i podręcznika — dojrzeć dziecko z wszystkimi jego potrzebami, trudnościami i problemami.

Czy potrafimy, czy już nie za późno? Myślę, że musimy podjąć to zadanie. Nie tylko ze względu na Kartę Nauczyciela. Nie dla takiej czy innej ekipy, nie dla takiego czy innego wizytatora. Dla spełnienia naszej misji, dla spłacenia długu wobec naszych, dobrych przecież w większości nauczycieli, którzy wykształcili nas w jakże niełatwych warunkach. Przede wszystkim zaś dla dobra oddanych w nasze ręce dzieci.

Miejmy nadzieję, że w takim odnowionym podejściu do funkcji i zadań nauczyciela znajdziemy przyjaciół i pomocników w administracji szkolnej, wizytatorach i metodykach, w związkach zawodowych.

Odbudowa naszego autorytetu, podniesienie poziomu skuteczności naszej pracy, nie może nastąpić z miesiąca na miesiąc. Realizacja tego musi być rozłożona na lata. Będzie postępować z odnową i odbudową całokształtu naszego życia. Ale już teraz musimy zdać sobie sprawę, dokąd i którędy zmierzamy.

EUGENIUSZ BROZEK
Harbutowice
woj. m. Kraków

JESZCZE O PROGRAMACH HISTORII

Szanowny Panie Redaktorze! W moim artykule pt. „Historia w szkołach ogólnokształcących” („Głos Nauczycielski” nr 6/1982 — „Zeszyty Historyczne” nr 1) stwierdziłem zbyt skrótowe omówienie okoliczności i warunków przeprowadzenia ostatnich korekt programów nauczania historii. Czytelnik nie wprowadzony bliżej w prace programowe, może stwierdzić sprzeczności między tym, co pisano i mówiono kilka miesięcy temu o zmianach programowych, a nazbyt lapidarnym stwierdzeniem zawartym w moim tekście. Ponadto może powstać niezamierzony wrażenie, iż „Głos Nauczycielski” chce pomniejszyć lub zignorować wkład grupy nauczycieli z NSZZ „Solidarność” w korektę programów historii.

Krytyka programów nauczania historii, a także podręczników narastała w środowiskach naukowych i nauczycielskich od końca lat pięćdziesiątych. Polskie Towarzystwo Historyczne, a zwłaszcza jego Komisja Dydaktyczna, pod przewodnictwem prof. dra Jerzego Maternickiego wielokrotnie występowała z postulatami zmian programowych, które zostały wprowadzone do projektu programu dla powszechnej szkoły średniej. Gdy okazało się, że reforma strukturalna nie wejdzie w życie, Zespołu Programowy Historii przy ministrze oświaty i wychowania oraz Pracownia Historii Instytutu Programów Szkolnych włączyły do swego programu korektę treści programowych z zakresu historii najnowszej i współczesnej. Zamierzano z rozwagą i w spokoju dokonać niezbędnych zmian, mających na celu przybliżenie treści nauczania szkolnego do najnowszych i trwałych osiągnięć polskiej historiografii.

Jednak bieg wydarzeń narzucił tempo zmuszające do szybkiego, jeżeli nie nazbyt pośpiesznego, działania. Prace programowe w normalnym trybie wymagają spokoju i rozważań, no i oczywiście, czasu.

W tekście, zamieszczonym na łamach „Głosu Nauczycielskiego” wymieniam instytucjonalnie wszystkich, którzy uczestniczyli w pracach nad obecnym kształtem

programu. Prace te były prowadzone w nerwowej, gorączkowej atmosferze, przy hałaśliwym akompaniamencie i popędzaniu przez część prasy. Ten pośpiech odbił się zapewne na walorach dydaktycznych programu. Nie można jednak odmówić uczestnikom prac programowych ofiarności i zaangażowania.

Poczucie sprawiedliwości i uczciwości wymaga, aby wyraźnie podkreślić, iż ta grupa nauczycieli przygotowała projekt zmian, a następnie uczestniczyła we wszystkich pracach, aż do ostatecznej wersji programu.

Z wyrazami szacunku

JERZY CENTKOWSKI

ODWAGA I RZECZYWISTOŚĆ

Wyobrażamy sobie taką sytuację. Przed kilku laty młody nauczyciel rzekł się „dobrowolnie” funkcji I sekretarza szkolnej POP, a następnie sekretarza KG. Wtedy to przyrzekał sobie — żadnych funkcji, nigdy więcej aktywności społecznej. Co tego młodego człowieka skłoniło do takiej postawy? Sięgnijmy do materiału z „Głosu”.

Czytamy tam, cyt. „Trzeba tylko z ich strony (nauczycieli-członków PZPR) większej odwagi, inicjatywy i samodzielności...” Ze smutkiem myślę, że to tylko słowa, życie bowiem pozostanie życiem. Dlaczego? Otóż dlatego, że w konfrontacji z rzeczywistością ci odważni i z inicjatywą mogą być przedstawiani jako awanturnicy i rozrabiacze. Ich praca społeczna natomiast jako droga do osobistych korzyści. Nawet, mimo oczywistego nonsensu takiego twierdzenia. Jakże to możliwe? Owszem, możliwe. Takie oskarżenie może postawić nie rozumiejący lub nie chcący rozumieć istoty pracy POP w szkole dyrektor, dodajmy — nie będący członkiem PZPR. Ci odważni i z inicjatywą stanowią — w pojęciu takiego dyrektora — zagrożenie dla jego osoby, dla jego stanowiska. Szuka on sposobów utracenia takich ludzi — przy czym każdy środek jest dobry, byle skuteczny. Trzeba tylko silnie uderzyć. Najlepiej wycelować w sekretarza — osobę, która miała czelność nie tylko upominać się o prawa POP w szkole, ale również wytykać dyrektorskie błędy. Dyrektor wie, że jeżeli zniszczy sekretarza, zniewoli organizację. Cóż z tego, że zarzuty są grubymi niemi szyć. Zrobią swoje.

Można zapytać: co na to członkowie PZPR w szkole? Otóż usiłujący bronić swojego sekretarza członkowie egzekutywy POP, też się narazili. Z nimi też dyrektor dał sobie radę. Któż więc zechce jeszcze ryzykować utratą zdrowia i pracy? Nikt!

Nie jest ważne, że ktoś tam stracił zdrowie, wiarę w praworządność i sprawiedliwość, chęć do aktywności społecznej. Ważne, że zwyciężył upór, zawziętość, postawienie na swoim. Ważne, że zwyciężył „porządek” — ten dyrektorski, zamykający usta. Porządek osiągnięty kosztem konkretnych osób, kosztem sponiewierania ich godności osobistej.

Jeszcze raz znajduje zatem potwierdzenie stara prawda: „... siedź cicho i przytakuj”. To chyba jedyna recepta na „spokojną” pracę i życie. Kierujący się tą regułą z pewnością osiągną sukces. Tylko czy to będzie sukces autentyczny?

ŚLAWOMIR KOSEK
Łęka

OD REDAKCJI: Ktoś może powiedzieć: samo życie. Oto pan dyrektor jest na tyle władny, że może „utrącić” sekretarza szkolnej POP a nawet całą jej egzekutywę. Prawdę jednak mówiąc, przypadek powyżej opisany (anonimowy) należy już chyba do przeszłości, aczkolwiek tu i ówdzie, podobne przypadki mogą mieć jeszcze miejsce. Rzeczywiście, zdarzało się — choć nie tak często — że dyrektorzy próbowali podporządkować sobie sekretarzy i egzekutywy szkolnych POP. Kończyły się one jednak zawsze przykrymi konsekwencjami jeśli, oczywiście, członkowie partii mieli rację i występowali w sprawach nie podlegających dyskusji. Oczywiście, wiele zależy od zdecydowanej postawy członków partii, ich odwagi w prezentowaniu swoich racji i poglądów. (ZP)

DOM NAUCZYCIELA PRZYJMUJE GOŚCI

Dyrekcja Domu Nauczyciela w Warszawie uprzejmie informuje, iż od 22 marca bieżącego roku wznowiona została pełna działalność hotelowa i gastronomiczna.

Zamawianie noclegów pozostaje na dotychczasowych warunkach. Członkowie ZNP korzystają ze zniżki.

WIELKI KONKURS RYSUNKOWY „JANUSZ KORCZAK W MOICH OCZACH”

Międzynarodowe Stowarzyszenie im. Janusza Korczaka, we współpracy ze stowarzyszeniami i komitetami krajowymi, ogłasza wielki konkurs rysunkowy dla dzieci i młodzieży całego świata pod hasłem: „Janusz Korczak w moich oczach”. W konkursie tym mogą brać udział dzieci i młodzież od 6 do 15 lat.

Organizatorzy konkursu w taki oto sposób zwracają się do dzieci z całego świata: „Międzynarodowe Stowarzyszenie im. Janusza Korczaka w ścisłej współpracy ze stowarzyszeniami i komitetami korczakowskimi poszczególnych krajów świata od Australii po Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, od ZSRR po Francję czy Italię — proponuje Wam, Drogie Dziewczynki i Drodzy Chłopcy, poznanie życia i dzieła Janusza Korczaka, polskiego pisarza, lekarza, wychowawcy (...). Kiedy już zapoznacie się z życiorysem, a także książkami Janusza Korczaka, które ukazały się w przekładach na różne języki, spróbujcie przedstawić plastycznie tak, jak dyktują Wam myśli i serce, jakiś szczegół — Waszym zdaniem — ważny epizod z życia Janusza Korczaka; jakiegoś zdarzenia prawdziwego lub tylko wyrosłego w Waszej wyobraźni, dotyczącego dzieci i młodzieży, która miała szczęście znaleźć się pod opieką Starożytności, zilustrować jakąś scenę z którejś z przeczytanych książek Janusza Korczaka; przedstawić Starożytności dzisiaj, w naszych czasach — w Waszym środowisku, kraju, domu, szkole, jako tego człowieka, który pragnie szerzyć przyjaźń dzieci i młodzieży całego świata, wszystkich kontynentów, wszystkich ras”.

Każdy uczestnik może przesłać jedną lub więcej prac. Technika wykonania dowolna (tempera, gwasz, akwarela, olej, inne). Każda praca musi być na odwrocie opatrzona tytułem oraz pełnym imieniem i nazwiskiem, wiekiem uczestnika i dokładnym jego adresem.

Prace konkursowe należy przysyłać do 30 czerwca 1982 roku pod adresem: Międzynarodowe Stowarzyszenie im. Janusza Korczaka, ul. Śniadeckich 17, PL-00-654 Warszawa.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do 30 września 1982 roku. Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody:

● trzy dziesięciodniowe pobyty w Polsce dla trzech laureatów z zagranicy, każdy z jednym opiekunem dorosłym;

● trzy dziesięciodniowe pobyty za granicą dla trzech laureatów z Polski (w zależności od formy pobytu, na przykład międzynarodowego obozu, kolonii czy pobytu indywidualnego, a także wieku laureata, możliwy jest również wyjazd opiekuna dorosłego).

Ponadto za prace wyróżnione przyznanych zostanie 150 nagród rzeczowych w postaci albumów, płyt, plakatów, przedmiotów rękodzieła artystycznego itp.

UWAGA CZYTELNICY „OŚWIATY I WYCHOWANIA”

Dwutygodnik „Oświata i Wychowanie” rozpoczął działalność w 1982 r. z półrocznym opóźnieniem i w nowej wersji edytorskiej. Obecnie ukazują się jego dwie wersje (A i B) i w całości zmienionej szacie graficznej. Wersja A przeznaczona jest dla ogółu nauczycieli, a zwłaszcza kadry kierowniczej oświaty, i zawiera materiały prezentujące główne problemy polityki oświatowej, doświadczenia szkół i placówek oświatowo-wychowawczych oraz problemy z zakresu zarządzania szkołą i oświatą. W wersji tej w rubryce „Ministerstwo informuje...” przewiduje się przedstawianie w syntetycznej formie wszystkich rozporządzeń i zarządzeń Ministerstwa Oświaty i Wychowania, które w pełnym kształcie drukowane są w „Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Oświaty i Wychowania”.

W drugiej połowie 1982 roku redakcja zamierza wydrukować tylko w tej wersji zeszyt Encyklopedii Pedagogicznej poświęcony instytucjom oświatowo-wychowawczym i podstawom ich funkcjonowania.

Natomiast wersja „B” — nosząca nazwę edukacyjnej — obsługuje potrzeby słuchaczy NURT, dostarczając im komplet materiałów drukowanych, niezbędnych do kształcenia się w tej formie. Jednocześnie redakcja tej wersji obok wykładów natywniejszych uczonych drukuje w sposób wyprzedzający założenia poszczególnych cykli NURT. W drugiej połowie 1982 roku w wersji tej drukowany będzie zeszyt Encyklopedii Pedagogicznej poświęcony dydaktyce. Prezentują w nim swe opracowania: prof. dr Wincenty Okoń, prof. dr Czesław Kupisiewicz, prof. dr Ludwik Bandura, prof. dr Krzysztof Kruszewski, doc. dr Tadeusz Lewonicki. Wszyscy zainteresowani poszczególnymi wersjami „Oświaty i Wychowania” mogą ją zaprenumerować na II półrocze 1982 r. w terminie do 10 czerwca 1982 roku. Cena prenumeraty półrocznej wynosi: wersja A — 225 zł, wersja B — 270 zł.

OGŁOSZENIA

Magister germanistyki z wieloletnim stażem podejmie pracę od września. Warunek mieszkanie. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, Wiejska 12, Biuro Ogłoszeń, dla nr. 11.

ESPERANTO NON-STOP! Kurs korespondencyjny dla wszystkich! Zapisy codziennie. Informacje: Związek Esperantystów, Jasna 6, 00-013 Warszawa.

„TRZYNASTKA” (2) PO RAZ PIERWSZY

Do nowej szkoły przeniesiemy się za zgodą zakładów pracy z dniem 1 września 1981 roku. W 1982 roku ja ukończę 5 lat pracy, a żona 2,5 roku. Prosimy o informację, czy otrzymamy „trzynastkę”, w poprzednim i obecnym miejscu pracy, a jeśli tak, to w jakiej wysokości?

Roman Janowski
Piotrkowice

Prawo do „trzynastki” mają Koledzy w poprzedniej szkole, proporcjonalnie do przepracowanego okresu w 1981 r. w tej szkole, czyli za osiem miesięcy. Pracownik ma bowiem prawo do nagrody w pierwszym zakładzie — mimo że nie przepracował tam całego roku kalendarzowego — wówczas, gdy przeniósł się do drugiego zakładu pracy za zgodą obu pracodawców, jednakże pod warunkiem przepracowania w pierwszym zakładzie co najmniej 6 miesięcy w roku, za który przyznawana jest nagroda.

Natomiast w szkole, w której obecnie pracujecie „trzynastka” Wam nie przysługuje, albowiem nie spełniacie warunku przepracowania w nowym zakładzie pracy co najmniej 6 miesięcy w roku 1981, za który „trzynastka” jest obecnie przyznawana i wypłacana. Jeżeli chodzi o wysokość „trzynastki” — kolega otrzyma 100 proc. nagrody, natomiast żona — 50 proc.

Z dniem 1 stycznia 1982 roku przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Czy w związku z tym, przysługuje mi „trzynastka” za rok 1981, w jakiej wysokości i z uwzględnieniem jakich dodatków przy jej wyliczaniu?

Antoni Rozmarynowski
Zalęcze Wielkie

Oczywiście, tak, gdyż wypłacana obecnie „trzynastka” jest nagrodą za nienaganną pracę w 1981 r. Kolega otrzyma więc „trzynastkę” w pełnej wysokości czyli 100 proc. nagrody, jeśli w szkole, w której ostatnio był zatrudniony, przepracował trzy lata (albo co najmniej 6 miesięcy — jeśli Kolega przeszedł do tej szkoły za zgodą obu zakładów).

Do podstawy obliczania „trzynastki” wlicza się wszelkie dodatki, a także wynagrodzenie za godziny nadwymiarowe.

Od stycznia do sierpnia 1981 roku odbywałem służbę wojskową, po czym podjąłem już 1 września 1981 r. pracę w tej samej szkole i od tego dnia przydzielono mi 6 godzin nadwymiarowych. Chciałbym zapytać, w jakiej wysokości będzie przysługiwała mi nagroda i czy do obliczenia „trzynastki” wzięte zostanie pod uwagę wynagrodzenie za godziny nadwymiarowe, a jeśli tak, to czy będzie doliczane za cały ubiegły rok, czyli także za ten okres, gdy odbywałem służbę wojskową?

I jeszcze jedno: obecnie pracuję trzeci rok (3 lata upływają 1 września 1982 r.)

Moje pobory nauczycielskie wynoszą 7350 zł miesięcznie, posiadam poza tym 3,39 ha ziemi. Żona nigdzie nie pracuje, a córka uczęszcza do liceum ogólnokształcącego. W jakiej wysokości przysługuje dla mnie i członków mojej rodziny rekompensata z tytułu wyższej cen od 1 lutego 1982 roku.

Józef Staszyński
Służowo

Zasady wypłacania rekompensat pieniężnych z tytułu wprowadzenia z dniem 1 lutego 1982 roku nowych cen detalicznych podstawowych artykułów żywnościowych, opału i energii określone zostały Uchwałą nr 24 Rady Ministrów z 27 stycznia 1982 roku opublikowaną w Monitorze Polskim nr 4, poz. 18.

Zgodnie z tą uchwałą Koledzy, jako pracownikowi zatrudnionemu w społecznie-nym zakładzie pracy, przysługuje z tytułu nowych cen artykułów żywnościowych rekompensata w wysokości 750 zł miesięcznie. Poza tym — z tytułu nowych cen energii, opału oraz artykułów żywnościowych nie objętych przydziałem kartkowym przy zarobkach od 6000—9000 zł — rekompensata w wysokości 500 zł miesięcznie.

Ponieważ Kolega posiada gospodarstwo rolne o powierzchni ponad 2 ha — rekompensata na członków Waszej rodziny to jest żonę i córkę — nie przysługuje.

W myśl art. 31 Karty Nauczyciela — nauczyciel awansuje do wyższego wyna-

Kiedy konkretnie, to znaczy za który rok, dostanę 100 proc. nagrody?

Marek Kłazewski
Włocławek

W związku z pełnieniem służby wojskowej, ma Kolega prawo do „trzynastki”, tak jak gdyby był zatrudniony przez cały 1981 rok. Do podstawy obliczania wysokości „trzynastki” wynagrodzenie za godziny nadwymiarowe będzie wliczane tylko za 4 miesiące, a za okres służby wojskowej będzie wliczone wynagrodzenie obliczane tak jak za urlop wypoczynkowy.

100 proc. nagrody otrzyma Kolega za trzeci rok pracy, czyli za nienaganną przepracowany rok kalendarzowy 1982 r.

Jestem emerytowaną nauczycielką. W 1981 roku byłam zatrudniona w szkole od 1 stycznia do 10 czerwca. Dyrektor szkoły twierdzi, że „trzynastka” mi nie przysługuje, gdyż nie przepracowałam 6 miesięcy. Czy to prawda?

Teodozja Szejdach
Ignaców

Dyrektor ma rację, albowiem emeryt podejmujący zatrudnienie w niepełnym wymiarze czasu pracy w tym zakładzie, z którego odszedł na emeryturę (a w wypadku Koleżanki założyliśmy, że tak jest) — ma prawo do „trzynastki”, jeżeli w tym roku (1981), za który przyznawana jest nagroda, przepracował co najmniej 6 miesięcy.

Natomiast jeżeli emeryt podejmuje pracę w innym zakładzie niż ten, z którego odszedł na emeryturę — prawo do „trzynastki” nabywa od nowa, czyli po przepracowaniu całego roku kalendarzowego otrzyma 50 proc. nagrody.

Do września 1981 roku korzystałam z urlopu dla poratowania zdrowia, od września natomiast korzystałam z komisyjnych zwolnień lekarskich do chwili obecnej. Czy przysługuje mi „trzynastka”?

Mieczysław Falanca
Radomsko

Kolega ma prawo do nagrody. Inna sprawa to jej wysokość. Otóż do podstawy obliczania wysokości „trzynastki” nie wlicza się wynagrodzenia za czas urlopu dla poratowania zdrowia, natomiast zalicza się wynagrodzenie nauczycieli za czas usprawiedliwionej nieobecności w pracy. Czyli w sytuacji Kolegi będzie wliczone tylko wynagrodzenie za 4 miesiące.

Sytuacja rodzinna ułożyła mi się tak, że pracę w szkole podjąłem dopiero 10 stycznia 1981 roku. Dyrektor stwierdził, że „trzynastka” mi nie przysługuje, gdyż nie przepracowałam całego roku kalendarzowego, zabrakło mi tych 10 dni. Czy jest jakaś możliwość odpracowania?

Irena Nowakowska
Szczecin

Nie ma możliwości odpracowania, ale „trzynastka” przysługuje, mimo iż nie przepracowała Koleżanka całego roku kalendarzowego. Spełnia Koleżanka bowiem warunek przepracowania go, gdyż rozpoczęła pracę nie później niż w ciągu pierwszych dwóch tygodni — to jest do 14 stycznia 1981 r.

(Kon)

grodzenia zasadniczego co dwa lata. Chciałbym się dowiedzieć, czy do stażu pracy wlicza się okres odbywania służby wojskowej. Kiedy będę awansowany do wyższej grupy uposażeniowej, skoro po odbyciu rocznej służby wojskowej podjąłem pracę w szkole od 1 września 1981 roku. W jakiej wysokości otrzymam wynagrodzenie?

Bogdan Amenda
Włocławek

Do stażu pracy nauczycielskiej, od którego zależy wysokość wynagrodzenia zasadniczego nauczyciela oraz uprawnienie do dodatku za wysługę lat, zalicza się okres zasadniczej służby wojskowej. W jakiej wysokości otrzyma Kolega wynagrodzenie po dwóch latach pracy (łącznie z służbą wojskową), nie jesteśmy w stanie obecnie odpowiedzieć. Zgodnie z art. 36 Karty Nauczyciela wysokość stawek wynagrodzenia zasadniczego, dodatków, wynagrodzenia za zajęcia dodatkowe, zasady zaszerzegowania określa Rada Ministrów. Rozporządzenie w tej sprawie będzie wydane w terminie do 31 lipca 1982 roku.

Pracę w szkole rozpoczęłam 1 września 1955 roku. Z powodu kłopotów rodzinnych po 8 latach przerwałam pracę w szkole i Wydział Oświaty przeniósł mnie w stan pozasłużbowy na okres od 1 września 1963 roku do 31 sierpnia 1968 roku. W czasie stanu pozasłużbowego, jak i po jego zakończeniu pracowałam w Biurze Komornika Sądu Powiatowego — w sumie 9 lat. Od 1 września 1972 roku podjęłam ponownie pracę w szkolnictwie i pracuję po dzień

PRAWO DO MIESZKANIA

Do redakcji wpływa wiele listów od czynnych nauczycieli oraz emerytów i rencistów z pytaniami — na czym polegają ich nowe uprawnienia mieszkaniowe uregulowane w przepisach Karty Nauczyciela. Oto odpowiedź na najczęściej powtarzające się pytania.

Uprawnienia nauczycieli w tej dziedzinie zawarte są w rozdziale 7 „uprawnienia socjalne i urlopy” — w artykułach: 54, 57 i 58 ustawy z 26 stycznia 1982 r. — Karta Nauczyciela (Dz. Ustaw nr 3 poz. 19). Zachowując wszystkie uprawnienia przysługujące nauczycielom na podstawie art. 43 dotychczas obowiązującej Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela — przepisy Karty Nauczyciela rozszerzyły ich zakres, wprowadzając nowe bardziej korzystne dla nauczycieli rozwiązania.

1. Prawem do bezpłatnego mieszkania objęci zostali z dniem 1 września 1981 r. nauczyciele zatrudnieni na terenie miast do 5000 mieszkańców. Nadal zachowują te uprawnienia nauczyciele zatrudnieni na terenie wszystkich wsi. Uprawnieniami do bezpłatnego mieszkania objęci zostali wszyscy nauczyciele-emeryci i renciści, którzy przed przejściem na emeryturę lub rentę pracowali na w/w terenach co najmniej 5 lat, bez względu na datę przejścia na emeryturę lub rentę. Oznacza to zniesienie powszechnie kwestionowanego przez nauczycieli oraz przez ZNP podziału w zakresie uprawnień do bezpłatnych mieszkań — na nauczycieli, którzy przeszli na emeryturę po dniu 1 maja 1972 r. oraz na tych, którzy przed tą datą stali się emerytami lub rencistami.

2. Istotnej zmianie ulega zasada realizacji prawa do bezpłatnego mieszkania przez rozciągnięcie tego prawa na nauczycieli, którzy nie korzystają z przydziału bezpłatnego mieszkania w budynkach szkół i użytkowanych przez szkoły lub z mieszkań wynajętych dla nich przez terenowe organy administracji państwowej od właścicieli mieszkań. Na podstawie art. 54 ust. 4 Karty — nauczyciele zatrudnieni na terenie wszystkich wsi oraz na terenie miast liczących nie więcej niż 5000 mieszkańców, którzy nie korzystają z przysługującego im prawa do bezpłatnego mieszkania realizowanego w sposób wyżej wymieniony — mają prawo do dodatku mieszkaniowego wypłacanego przez terenowy organ administracji państwowej.

Z uprawnień zawartych w tym przepisie skorzystają więc między innymi ci nauczyciele, którzy:

— nabyli domy jednorodzinne od państwa, jak również w drodze umów kupna-sprzedaży od osób prawnych fizycznych albo w drodze darowizny lub dziedziczenia stali się właścicielami domów;

— wybudowali domy bez korzystania z kredytu bankowego lub pożyczek uzyska-

nych w ZNP i z zakładowego funduszu mieszkaniowego, jak również są właścicielami domów na terenie miast liczących ponad 5000 mieszkańców usytuowanych w odległości umożliwiającej im codzienny dojazd do pracy w szkołach na terenie wszystkich wsi oraz miast do 5000 mieszkańców.

Przepis art. 54 ust. 4 Karty spełnia zatem powszechne, od wielu lat zgłaszane, postulaty nauczycieli, którzy są obciążeni szeregiem opłat i świadczeń, takich między innymi, jak: spłaty zaciągniętych pożyczek na remonty kapitałowe i bieżące, podatki od nieruchomości, opłaty z tytułu obowiązkowego obciążenia ubezpieczeniem w PZU i opłaty na rzecz funduszu gminnego, koszty zakładania i eksploatacji wodociągów, koszty elektryfikacji itp.

3. W artykule 57 Karty wprowadzone zostały korzystniejsze zasady uzyskiwania i korzystania z dodatkowej powierzchni mieszkalnej. Dodatkową powierzchnię mieszkalną przyszuje się nauczycielom w postaci dodatkowej izby, a nie jak na podstawie dotychczas obowiązujących przepisów — do zwiększonego mieszkania o jedną normę (tzn. M-ke).

Szczegółowe zasady przyznawania dodatkowej powierzchni określi minister oświaty i wychowania w porozumieniu z ministrem administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska.

Ponadto uprawnieni do dodatkowej powierzchni mieszkalnej nauczyciele zostali zwolnieni od opłacania podwyższonego czynszu z tytułu zajmowania dodatkowej izby.

W świetle dotychczasowych przepisów nauczyciele byli obowiązani uiszczać za tę dodatkową powierzchnię opłatę wg podwyższonych ogólnie obowiązujących stawek określonych w rozporządzeniu Rady Ministrów w sprawie czynszów najmu za lokale mieszkalne.

Stosownie do postanowień art. 60 Karty uprawnieniami do dodatkowej powierzchni mieszkalnej zostają objęci również nauczyciele po przejściu na emeryturę lub rentę.

Korzystnej zmianie uległ status nauczycieli-emerytów, rencistów zajmujących mieszkania w budynkach szkół i użytkowanych przez szkoły (w domach nauczyciela, internatach itp.). Na podstawie art. 60 Karty — nauczyciele po przejściu na emeryturę lub rentę zachowują prawo do zajmowania tych mieszkań. Przepis ten sankcjonuje powszechnie stosowaną praktykę w tym względzie, pozwoli rozproszyć szereg obaw i niepokojów nauczycieli, którzy zajmują takie mieszkania przed i po przejściu na emeryturę lub rentę.

4. Nieco jaśniejsze perspektywy lepszego zaspokajania potrzeb mieszkaniowych nauczycieli stwarzają postanowienia art. 53 ust. 3 Karty. Stanowią one, że nie później niż do dnia 1 stycznia 1984 roku środki zakładowego funduszu mieszkaniowego dla nauczycieli ulegną poważnemu wzrostowi, a mianowicie z 1 proc. do 3 proc. planowanego funduszu plac. Pozwoli to na korzystanie w szerszym zakresie ze świadczeń finansowych na potrzeby mieszkaniowe w drodze uzyskiwania większej pomocy na budownictwo mieszkaniowe (spółdzielcze, indywidualne), na remonty, modernizację domów, mieszkań, opłacanie kaucji mieszkaniowych itp.

(W.B.)

dzisiejszy. Wydział Oświaty, przyjmując mnie ponownie do pracy, zaliczył mi tylko lata pracy w szkole od 1 września 1955 roku do 31 sierpnia 1963 roku. Nie wiem, czy Wydział Oświaty powinien mi zaliczyć do stażu pracy nauczycielskiej lata pracy u komornika lub może przynajmniej 5-letni okres stanu pozasłużbowego? Pracuję bez przerwy od 1955 roku, a mam zaliczone tylko 18 lat.

Jadwiga Biedulska
Szczecino

Na podstawie art. 23 ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 roku o prawach i obowiązkach nauczycieli, która miała moc obowiązującą do 30 kwietnia 1972 roku można było przenieść nauczyciela na jego prośbę w stan pozasłużbowy (nauczycielka mająca na wychowaniu 1 lub więcej dzieci w wieku do 7 lat, niemożność zatrudnienia nauczyciela w miejscu stałego zamieszkania współmałżonka).

Jednakże zgodnie z przepisami tego artykułu czasu spędzonego w stanie pozasłużbowym nie wlicza się nauczycielowi do wysługi lat. Nie można też zaliczyć do stażu pracy nauczycielskiej dla celów uposażeniowych okresu pracy w Biurze Komornika Sądu, gdyż praca ta nie daje doświadczenia i kwalifikacji przydatnych do pracy nauczycielskiej.

Decyzja Wydziału Oświaty w sprawie ustalenia stażu pracy nauczycielskiej Koleżanki jest więc zgodna z obowiązującymi przepisami.

(K.W.)



TYGODNIK
ODZNACZONY
ZŁOTĄ
ODZNAKĄ
ZNP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Walentyna Łapińska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rogalska (kierownik działu), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Halina Szymczak, Janusz Trzeciński, Henryka Witalewska (kierownik działu), Jan Rocki (redaktor graficzny). Kierownik administracyjny — Aniela Pawlak korekta — Irena Kościelniak, Joanna Papińska. Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86 02-017 Warszawa Z-25 Nakład 70 000 egz.

UPADEK IKARA

W 365 roku p.n.e., w tę samą noc, w którą zgodnie z tradycją antyczną przyszedł na świat Aleksander Wielki, spłoneła świątynia Artemidy w Efezie. Nie stało się to w wyniku nieszczęśliwego wypadku, przeciwnie pożar został wzniecony ręką przestępcy. Sprawcą był szewc z Efezu, Herostratos, który swego zbrodniczego czynu dokonał opanowany szaleńczą żądzą osiągnięcia nieśmiertelnej sławy. Herostratos został skazany na śmierć a nadto zakazano wspominać jego imię. Zbrodniarz miał umrzeć i miał zostać zapomniany. Ta druga kara okazała się nieskuteczna; do dziś dnia imieniem Herostratos nazywa się ludzi, którzy dążą do zdobycia sławy metodami niegodziwymi, zbrodniczymi. Znacznie mniej szczęścia u potomnych mieli i mają twórcy tej wspaniałej świątyni zbudowanej w latach 560—500 p.n.e. i uznanej za jeden z siedmiu cudów świata. Dwaj znakomici architekci z Knossos na Krecie, Chersifron i jego syn Metagenes, są dziś znani tylko melicznym. Wśród wielu pięknych mitów, które odziedziczyliśmy po starożytnych Grekach, szczególną popularnością wyróżnia się mit o Dedalu i Ikarze. Przypomnijmy go w tej wersji, którą zaw-

dzięczamy wielkiemu polskiemu uczonemu i świetnemu popularyzatorowi wiedzy o antyku, profesorowi Tadeuszowi Zielińskiemu... Na Krecie rządzonej przez króla Minosa, przebywał wraz ze swym synem Ikarzem znakomity rzeźbiarz, architekt, konstruktor i wynalazca Dedal. „Dedal prosił aby pozwolono mu oddalić się z Krety, ale Minos ani słyszeć o tym nie chciał... I zobaczył Dedal, że całe życie będzie musiał spędzić na nienawistnej mu już dzisiaj wyspie. Często stawał na brzegu morza i... zazdrościł ptakom skrzydlatym, że mogą opuszczać wyspę i lecieć, dokąd chcą. Ach, ptak może, a człowiek nie może. Dlaczego to tak?... I zaczął artysta narzyc, a marząc zaczął pracować, aż domarzył się i dopracował tego, z czym tyle szczęścia wiązała jego dusza. Niemalże namarnował piór i wosku, niemalże innych rzeczy, ale cel swój osiągnął — dwie pary ogromnych skrzydeł zajęły połowę jego niedostępnej pracowni...

Jeszcze przed świtem zaniesli obaj z Ikarzem skrzydła na brzeg morski i tam dopiero przypasali je do ramion. Idź za moim przykładem, synu — pouczał starzec młodzieniaszka — bacz, abyś nie niósł się za nisko, bo ci pióra ocieżeją od wilgoci morskiej, ale nie urzbić się za wysoko, bo słońce roztopi na nich wosk. Pośrednia droga jak wszędzie, tak i tutaj najbardziej wskazana. Wzbili się i poczęli lecieć na zachód, ciagle na zachód. Z początku wszystko szło doskonale... Dedal im dalej leciał, tym bardziej cieszył się ze swego wynalazku...

Ale Ikar, który początkowo słuchał napomnień ojca, powoli zapomniał o ostrożności. Młodość w ogóle rzadko kiedy rozumie korzyści i mądrości drogi pośredniej. Miło mu było porwać się w zawody z szybcyjnymi orłami i z białymi żaglami obłoków. I stało się, co przewidział ojciec. Wosk jego piór roztopił się od palących promieni, pióra osypały się i biedny Ikar stoczył się błyskawicznie w otchłań morską. Dedal sam jeden doleciał do wybrzeży sycylijskich” (T. Zieliński, Starożytność bajeczna. W-wa 1957 s. 253—254).

Mit ten zapłodnił wyobraźnię wielu pokoleń artystów — pisarzy, malarzy, kompozytorów... Ale stała się rzecz przedziwna, oto z bohaterów tego mitu, będącego przecież przypowieścią o potrzebie i pożytkach płynących z umiarkowania, szczególnie działającym na wyobraźnię twórców okazał się nie Dedal — człowiek mądry i rozważny — który skonstruował aparat latający dokonał na nim dalekiego i udanego lotu — lecz Ikar, którego jedynym „dokonaniem” jest to, że z powodu swej odcywiście lekkomyślności doprowadził do katastrofy, której sam stał się ofiarą.

Przyznam, że za każdym razem, gdy wsiałam do autobusu marki „Ikarus”, ogarnia mnie dreszcz nie pozbawionej lęku emocji. Nie mogę też zrozumieć, co naprawdę myślą ci, którzy dęblińską szkołę pilotów nazywają „szkołą Ikarów”.

Jest taki piękny obraz niderlandzkiego malarza z XVI wieku — Piotra Bruegela

„Śmierć Ikara”. Jest gorący pełen słońca dzień, na pierwszym planie rolnik, zajęty orką swego pola leżącego nad morską zatoką, po spokojnej gładi morza płyną okręty. Rozległy, tchnący leniwym spokojem pejzaż, w którym nie sposób, jak się zdaje, znaleźć tytułowego Ikara. Dopiero dokładniejsza, powiedziałbym wnikliwa obserwacja, pozwala zauważyć przy samym brzegu morza, wystającą z wody nogę, nogę tonącego Ikara...

Są dwie możliwe interpretacje tego obrazu. Według jednej, mamy tu do czynienia z malarską przypowieścią na temat egoizmu ludzi, którzy zajęci swoimi codziennymi, banalnymi czynnościami, nie mogą, czy nawet nie chcą, zauważyć dziejącej się obok nich tragedii — pozostając obojętni na śmierć śmiatego bohatera. Przynam, że znacznie bardziej przekonuje mnie inna interpretacja tego obrazu, jaką znalazłem w biograficznej powieści o Bruegelu, pióra F. Timmermansa: „Ikar jest taki mały, że się go ledwie widzi. Głowa tkwi w wodzie, widać tylko wierzgające nogi. Nic i nikt nie zwraca na niego uwagi i to jest właśnie największa kara dla tego głupca”.

Nie tracę nadziei, że nadejdzie wreszcie taki czas, gdy bardziej niż Herostratos czy Ikara cenić będziemy Chersifronów i Dedali.

JAN TRYNKOWSKI

NIEPOKOJE

NAD DACHAMI POWIŚLA...

Był 4 marca i zbliżała się godzina 22. Siedziałem w podmiejskim pociągu do Mińska Maz., który wyrwawszy się ze śródmiejskiego tunelu, odsapnął nieco na przystanku „Powiśle” i pomknął przez Wisłę ku Pradze. Gdzieś po środku mostu spojrziałem przez okno wagonu na panoramę lewobrzeżnej Warszawy. Błado błyskało światło Kościuszkowskiego Wybrzeża i gdzieś wysoko, wysoko nad całym Powiślem jawiły się na tle warszawskiej nocy dobrze mi znane litery — ZNP. Nie wiem, czy to moje zmęczenie sprawiło (całodzienny udział w naradzie, na której ktoś ważny tylko raz je wymienił), że dostrzegałem je jakby zamglone, czy też one patrzyły na miasto bardziej niż zwykle osowiale. Spoglądałem ku nim jakoś inaczej — znacznie cieplej, niż zwykle, gdy wypadało mi jechać tą trasą ku Pradze lub ku Śródmieściu.

— Panują — pomyślałem — tak samo jak przedtem nad kompleksem gmachów, które nie wiem komu obecnie służą, gdy właściwe ich przeznaczenie podległo zawieszeniu. Tylko one, wzniesione nad miastem, nie oczekują odwieszenia. Nieoficjalnie patronują pracującej gdzieś tam pod nimi — odwieszanej redakcji „Głosu”, świadectwem czego jest numer tygodnika, który trzymam w ręku. Zerkam na pierwszą stronę — na mile słowa docenta Wiatrowskiego i wyczuwam ducha ZNP, podobnie, jak On, z lamów tego pisma i z dachów Powiśla.

— Może teraz — bardziej niż kiedykol-

wiek po 13 grudnia zadumałem się nad znaczeniem i przyszłością tego, co owe trzy litery — dla jednych obojętne, dla drugich wrogie, dla trzecich — bardzo bliskie, oznaczają. Nie sposób określić, których jest dziś więcej — rozważania nad tym pachną scholastyczną zabawą. Zabawą nie mogą być jednak myśli o przyszłości tych liter.

— Marzy mi się ciągle ponowna integracja stanu nauczycielskiego w ramach tego, co one symbolizują. Przecież nie obawa o utratę tego skromnego stołka, lecz wiara w możliwość skutecznego działania, zatrzymała mnie jesienią 1980 roku przy tym symbolu. Tylko pozornie nie płynąłem z falą odnowy — rzeczywiście płynął z nią cały nasz Związek. Dostrzegali to każdy obiektywny obserwator. Jeśli tylko chciał patrzeć. Nie popłynąłem z tą inną falą, choćby dlatego, że byłem jednym z nielicznych świadków niemal trzy lata przed Sierpniem, jak „najwyższemu z najwyż-

szych” przedstawiono prawdę o naszych sprawach bez obawy o ewentualne konsekwencje.

— Dziś — w zmienionej i bardzo złożonej sytuacji — z troską myślę, co będzie dalej? — Podobno ruch związkowy ma być ruchem apolitycznym. Teoretycznie — zgoda, praktycznie — nie. Wszak nauczycielski ruch związkowy nie może odcinać się zupełnie od polityki, gdyż nie mogą mu być obojętne takie sfery politycznej działalności państwa jak: polityka społeczno-gospodarcza, polityka kulturalno-światowa, naukowa, wydawnicza czy kadrowa w tych dziedzinach. Straciłby bowiem swoją tożsamość, gdyby zrezygnował z wpływu na działalność państwa w tych dziedzinach. Ot — dla przykładu — polityka kadrowa w oświacie, sprawy obsady kadrowej, zwłaszcza kierowniczej, decydować będą zawsze o plusach bądź minusach kształcenia i wychowania. Wpływu na te zjawiska nauczycielski ruch zawodowy, moim zdaniem, nie może wyrzec się w przyszłości. Pozbawienie ruchu związkowego takiego wpływu, to wyrwanie części jego korzeni.

Najbardziej niepokoją mnie jednak dwie sprawy bliższe — mianowicie: — przy uśpieniu związkowej działalności rodzą się w resorcie przepisy wykonawcze do Karty Nauczyciela. Wierzę w odpowiedzialność ludzi, którzy nad nimi pracują, w ich dobrą wolę i intencje. Dawali temu wyraz w toku walki o Kartę, gdzie przeważnie ramie w ramie z nami odpierali argumenty jej przeciwników. Wierzę także

w dobrą wolę sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania — pamiętam bowiem dobrze zaangażowanie posłów na rzecz tej ustawy. Niepokoi mnie jednak, czy bez udziału nauczycielskiego ruchu związkowego — mając na uwadze swoją przyszłą „bezwiaźkowość” resort nie zgubi w przepisach wykonawczych ducha Karty, który jak dotąd jako jedyny ma pewne szanse na integrowanie całego środowiska.

Kto w obecnej sytuacji ma pilotować dalsze prace nad „zapomnianym” statusem pracownika oświaty nie będącego nauczycielem? Niemal każdego dnia padają pytania, co z tym aktem prawnym?

Darzę zaufaniem władze oświatowe, ale wolno mi mieć i przyznam, że mam takie obawy. Byłoby dobrze, gdybym był w tych obawach odosobniony.

Mówiąc o duchu Karty i jego szansach na integrację środowiska, niepokoję się, czy znajdziemy środki, które do niej doprowadzą. A przyznam, że z wielu czysto zawodowych względów jest ona konieczna. Każdego dnia narasta proces obarczania nas winą za grzechy w wychowaniu młodego pokolenia. Osobiście, uważam, że nie tylko my powinniśmy uderzać się piersi i posypywać głowę popiołem. Nasilenie się tych ocen i opinii nie jest obecnie skutecznie parowane. Wiem, że środowisko obroni się samo, lecz bez ruchu zawodowego będzie to bardzo trudne.

TOMASZ BLECHARCZYK

przed META

WIĘCEJ KAPUSTY!

Jedni mówią, że nauczycieli w jest dość, drudzy temu przeczą i argumentują liczbami. W co drugiej szkole lekcje wychowania fizycznego prowadzą niefachowcy. Kończy to się tym, że młody obywatel, opuszczając szkołę podstawową, ma poważne kłopoty z własną sprawnością fizyczną — bywa, do końca życia. Kształceniem nauczycieli zajmują się wyższe uczelnie wychowania fizycznego. Kiedyś były seminaria. Dostawali się tam ci, którzy wy-marzyli sobie zawód nauczycielski. Nie byli to zamożniejsi, brak pieniędzy na studia uniemożliwił im ich kończenie. Do seminarium szli, bo chcieli uczyć innych.

Wyższe uczelnie wychowania fizycznego nie nadążają z kształceniem „wuefi-

ków”. Część studentów po opuszczeniu uczelni i po zetknięciu się ze szkołą ucieka w stronę dal, absolwenci tych placówek chętnie wyjeżdżają za granicę. A i studenci proszą dziekanów o roczne urlopy, by móc gdzieś pojechać i zarobić na kupno samochodu. Wystarczy pójść do stołecznej AWF, aby przekonać się, jakimi luksusowymi wozami jeżdżą niektórzy studenci. Kto ich zatrudnia? Otóż modą stało się ostatnio kończenie kursów masażu. Na Zachodzie nauczyciel w znający tajniki masażu znajduje pracę bez najmniejszych trudności. Mamy więc nowy problem.

Tymczasem w kraju coraz bardziej od-czuwa się kłopoty z zasilaniem szkół fachowcami w dziedzinie wf. Część nauczycieli jakby zrezygnowała z ambicji. W sukces nikt im nie przychodzi. Czary goryczy dopełniają braki programowe. Ręce nam opadają — mówią nauczyciele — gdy przychodzi nam zabrać się do realizacji programu.

Doc. dr Ryszard Przewęda z warszawskiej AWF wymienił ze mną poglądy w tych sprawach. Jego zdaniem wiele złego tkwi w niedoskonałym, opracowanym dla „dziesięciolatki” programie szkolnego wf. Był robiony w oderwaniu od życia, popełniono masę błędów, za najważniejszy uważa się to, że nie był nigdzie dyskutowany — nikt się nie wypowiedział, czy jest dobry, czy zły, czy uwzględnić takie realia jak stan bazy, nieobfitość sprzętu.

Nauczyciele mają żal, że program uwzględnia sytuację jedynie szkół dobrze wyposażonych w niezbędne atrybuty, po-

zostawiając na marginesie placówki, w których nie udało się wybudować sal i boisk.

Ministerstwo Oświaty i Wychowania otrzymało ostatnio sugestie, by wprowadzić do programu korektury. Z takim planem wystąpiła między innymi Rada Upowszechnienia Kultury Fizycznej działająca przy GKKFiS. Rzecz polega na tym, by program dostosować do obecnej rzeczywistości. Jeśli nie ma — jak zauważył to pewien socjolog — pomarańczy, bananów i innych wysoko witaminowych owoców, to dajmy dzieciom dużo kapusty i kwaszonych ogórków zawierających sporo witamin.

Podobnie jest z wychowaniem fizycznym. Program trzeba ujednolicić i uwzględnić w nim prosty system, który mógłby zagwarantować jakieś minimum do opanowania. A więc chodziłoby o takie zajęcia, w których udział mógłby brać każdy uczeń a nie garstka wybrańców umiających dobrze kopać piłkę lub rzucić ją poprawnie do kosza.

To fakt, że o wielu sprawach decyduje kwestia czasu. Jego brak nie pozwala na wprowadzenie w każdej szkole godzinny dziennie lekcji wf. Ale czy trzeba zaraz stawiać wielkie kroki? Zaczniemy od małych. Tam, gdzie można (są szkoły z jedną godziną dziennie wf), niech pozostanie dotychczasowa praktyka. Gdzie indziej musi obowiązywać program minimum z godzinami pozalekcyjnymi. Ba, jak to ugryźć, kiedy wiemy, kto ćwiczy poza lekcjami. I tu na zajęcia przychodzi najsprawniejsi, najbardziej żądni ruchu i wysiłku fizycznego uczniowie.

Niech więc wreszcie odezwą się sami nauczyciele. Nie drodzy panowie! Czas skończyć z przychodzeniem do szkoły, pokreśleniem się po korytarzu i pokojach nauczycielskich i narzekaniem na to, że wf i tak pozostanie tym piątym kołem w wozu. Szkoła takiego stanu tolerować nie może. System musi być spójny i drożny, oparty na jak najściślejszym współdziałaniu. Poziomem zajęć wychowania fizycznego powinny być zainteresowane w jednolitym stopniu takie ciała jak: dyrekcja szkół, komitet rodzicielski, organizacje szkolne (samorząd, harcerstwo itp.).

Słyszczę często (z czym się nie zgadzam), że do szkół trafiają nauczyciele wf, którzy nie mogli się przebić i musieli tam siłą rzeczy wyładować. Krzywdząca to opinia. Ale są, niestety, przykłady świadczące o tym, że nauczycieli z inicjatywą szukać teraz trzeba ze świecą w ręku.

Myślę, że w przeszłości nauczycieli wychowania fizycznego wykorzystywano w sposób niedostateczny. Z reguły, przychodząc do szkół, nie mają oni doświadczenia, ale są młodzi, dynamiczni i pełni zapału. Szkoła, która jednak mało wymaga od swego nauczyciela, przekreśla jego nadzieje i sprawia, że wcześniej czy później odczuwa on brak wewnętrznych motywacji i potrzeb, stanie się obojętnym obserwatorem życia szkolnego.

Rzadko bywa, że nauczyciela wf ocenia się za wychowywanie podopiecznych. Najczęściej rozliczany on jest za wyniki sportowe. I w tym sek, że sama szkoła patrzy niewłaściwie na powinności „wuefiaka”.

MIECZYŚLAW BILSKI